

Rodzina

12. III. 1961

Nr 11 (36) • ROK II

WARSZAWA

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Cena 2 zł -





EWANGELIA

NA CZWARTĄ NIEDZIELĘ WIELKIEGO POSTU

ONEGO czasu oddalił się Jezus za Morze Galilejskie, czyli Tyberiadzkie. I szła za Nim rzesza wielka, bo widzieli cuda, które uczynił nad chorymi. Wszedł tedy Jezus na górę i usiadł tam z uczniami swymi. A zbliżała się Pascha, dzień święty żydowski. I gdy Jezus wznosił oczy i ujrzał, że wielka rzesza idzie ku Niemu, rzekł do Filipa: Skąd kupimy chleba, żeby ci posilić się mogli? A mówił to doświadczając go, bo sam wiedział, co miał uczynić. Odpowiedział Mu Filip: Za dwieście denarów nie starczy dla nich chleba, by każdy z nich choć trochę otrzymał. Rzekł Mu jeden z uczniów Jego, Andrzej, brat Szymona Piotra: Jest tu jedno pachole, które ma pięć chlebów jęczmiennych i dwie ryby, ale cóż to jest na tak wielu? Rzekł tedy Jezus: Każcie ludziom usiąść. A było dużo trawy na owym miejscu. I tak usiadło mężczyźni około pięciu tysięcy. Wziął tedy Jezus chleby i dzięki uczyniwszy rozdał siedzącym; podobnie i z ryb, ile chcieli. A gdy się nasyć, rzekł do uczniów swoich: Zbierzcie pozostałe ułamki, aby się nie zmarnowały. Zebrali tedy, i z pięciu chlebów jęczmiennych napelnili dwanaście koszów ułomkami pozostałymi po tych, którzy jedli. A ludzie owi widząc cud, który uczynił Jezus, mówili: Prawdziwie jest to prorok, który miał przyjść na świat. A Jezus poznawszy, że zamierzali przyjść, by Go porwać i uczynić królem, oddalił się znowu sam jeden na górę. (Sw. Jan 6, 1—15).

NAJSTARSZYMI i największymi świętami dorocznymi były u Izraelitów: Pascha, Zielone Święta i Święta Namiotów. Miały przypominać wyznawcom jakby trzy Boże dobrodziejstwa: wyzwolenie z niewoli egipskiej i ocalenie pierworodnych, ustanowienie teokracji i nadania prawa na górze Synaj oraz cudowne prowadzenie narodu przez pustynię i odebrane w czasie tej podróży dowody Bożej opieki.

Ponieważ wykładu ewangelii o cudownym nakarmieniu rzeszy przez Chrystusa dokonaliśmy w numerze drugim „Rodziny” z dnia 17.VII.1960 r. w związku z perykopą św. Marka ew. (6, 34 — 44), dlatego powtórnie tego samego zdarzenia opowiedzianego przez św. Jana ew. (6, 1—15) omawiać nie będziemy. Pragniemy zaznaczyć jedynie, że również

ewangelista Mateusz i Łukasz opowiadają o rozmnożeniu chleba przez Jezusa Chrystusa (Mt. 14, 14—21, Łk. 9, 12—17). W niniejszym komentarzu postaramy się raczej wyjaśnić Czytelnikom czym były dla Izraelitów święta Paschy, ponieważ scena omówiona w perykopie na IV Niedzielę W. Postu miała miejsce niedługo przed Paschą.

Sam wyraz Pascha pochodzi od słowa aramejskiego „pasah” i oznacza „przejście”, ponieważ anioł śmierci przeszedł obok domów izraelskich, nie czyniąc w nich spustoszenia, gdyż odrzwia tych domów były naznaczone krwią baranka. Wyrazu Pascha używa Biblia w różnym znaczeniu: albo na określenie baranka paschalnego, albo jako nazwy dnia, w którym baranka należało spożyć, albo wreszcie na oznaczenie całości świąt paschalnych. tj. dni od 14 do 21 Nisan (kwiecień).

Oprócz symboliki i charakteru religijnego. Pascha była świętem wiosny i rozpoczęcia żniw; zarówno w aspekcie religijnym jak i w aspekcie świeckim; Pascha należała do świąt radosnych. Czasem nawet ogólnie określano ją mianem świąt (ap. 1, 45).

Ryt obchodzenia świąt paschalnych przechodził swe fazy rozwojowe. Nieco inaczej świętowano na pustyni, inaczej po osiedleniu się w Kanaanie, a jeszcze inaczej po niewoli babilońskiej.

Po raz pierwszy Paschę święcono w Egipcie; opis rytu zawiera Księga Wyjścia w rozdz. 12, 1—36, gdzie czytamy o obowiązku zabijania, pieczenia i spożywania rocznego jagnięcia w każdej rodzinie izraelskiej, o spożywaniu chleba niekwaszonego (mace) i gorzkich ziół, jako symbol cierpień w Egipcie. Paschę spożywać należało stojąc, w pośpiechu, będąc gotowymi do drogi. Baranka należało spożywać w całości, nie zostawiając nic z niego do rana, gdyby zostały jakieś resztki należało je spalić natychmiast. Nadto praśniki zachowywano od 14 Nisan aż do 21 Nisan. Tak było w wieku XIII przed nar. Chr.

Po osiedleniu się w Palestynie, wprowadzono do rytu Paschy kilka nowych szczegółów. I tak, baranka zabijać należało w zasadzie w Jerozolimie, w okolicy świątyni, aby móc krew jego wylać w koło ołtarza i części tłuste spalić. Nadto wykluczono z wieczerzy paschalnej legalnie nieczystych, musieli oni obchodzić święta w następnym miesiącu. Zabijanie baranków rozpoczynało się o godz. 3 po południu wg naszej rachuby czasu.

Jeszcze bardziej wzbogacono ryt świąt paschalnych po powrocie z niewoli babilońskiej (połowa V w. przed Chr.). Ryt ten przestrzegany był także za czasów Jezusa Chrystusa, a tzw. „ostatnia wieczerza”, w czasie której ustanowił Jezus Chrystus Najświętszy Sakrament była normalną wieczerzą paschalną. Oto jej ryt:

Gdy się biesiadnicy zgromadzili i umyli ręce, gospodarz nalewał pierwszy kielich i wygłaszał nad nim błogosławieństwo („błogosławiony niech będzie twórca winnej latorośli”), następnie upijał z niego i dawał innym do picia.

Po powtórnym umyciu rąk, gospodarz błogosławił jedzenie, które przed nim leżało: gorzkie zioła, mace, ocet charoset (tj. marmolada z jabłek, orzechów, fig i wina) i baranka paschalnego. Następnie brał trochę gorzkich ziół, maczał je w wodzie z octem i charosetem, po czym spożywał je, za nim czynili to samo biesiadnicy. Po tej przekąsce stawiano

na stół biesiadny baranka paschalnego. Biesiadnicy kładli się na kanapy tak, że lewym łokciem opierali się o poduszkę, a prawą rękę mieli wolną do jedzenia. Teraz nalewano drugi kielich i przy tym lamano kawałek chleba na pamiątkę owego nędznego chleba, którzy ojcowie pożywali w ziemi egipskiej: Przewodniczący lub gospodarz zapowiadał:

„każdy kto laknie niech przyjdzie, kto pożąda, niech przychodzi i obchodzi Paschę”. Z tym łączono też odpowiednie pouczenie o znaczeniu Paschy (hagadda paschalna). Po tej hagadzie śpiewano część Hallelu (Ps. 112—113, 8) i dodawano modlitwę o Zbawiciela: „Spójrz na nędzę naszą i osądź sprawę naszą i wybaw nas dla imienia Twego. Bądź błogosławiony Jahwe, Zbawco Izraela”. Teraz spoelniano drugi kielich i rozdawano mace. Biesiadnicy umywali ręce, po czym zaczęli spożywać mace i zioła umaczone w charosecie, odmawiając modlitwę dziękczynną za nakaz spożywania baranka. Następnie spożywano samego baranka. Przy uczcie należało jeść do syta; gdy zatem baranka nie starczyło, to zabijano inne jeszcze zwierzę ofiarne, jednak ostatni kęs miał być z baranka paschalnego. Z kolei nalewano trzeci kielich i odmawiano błogosławieństwo nad biesiadą. Dziś jest to długa modlitwa, jaką formę miała za czasów Chrystusa nie wiemy. Zaczyna się od dziękczynienia Boga, jako dawcy pożywienia, a kończy się prośbą o Mesjasza. Po niej odśpiewywano drugą część Hallelu (ps. 113, 1—17). W czasie śpiewania pito czwarty kielich i kończono biesiadę hymnem. Tak się kończyła uczta. Nie kończyły się jednak święta, owszem te dopiero się rozpoczynały z tym, że pierwszy i siódmy dzień były dniami wolnymi od pracy — pozostałe były dniami roboczymi. Jednak przez cały ten tydzień nie wolno było spożywać chleba kwaszonego. W świątyni tymczasem każdego dnia składano, jako ofiarę publiczną całopalną: 7 baranków rocznych, 2 cielce, 1 barana oraz kozła jako ofiarę za grzechy. Nadto drugiego dnia Praśników (16 Nisan) składano Bogu w ofierze snop jęczmienia jako symbol rozpoczęcia żniw.

Ks. dr Antoni Naumczyk



NASZA OKŁADKA:

P. P. RUBENS — Ukrzyżowanie Chrystusa.

stoteles stworzył św. Tomasz uporządkowany, chociaż nie bezbłędny, system filozoficzno-teologiczny, zwany tomizmem. System ten obejmował całokształt wiedzy ludzkiej: fizykę, matematykę, logikę, kosmologię, psychologię, etykę, teologię i mistykę. Źródłem zagadnień filozoficznych były dzieła filozofów, źródłem zagadnień teologicznych Objawienie, podane w Piśmie św. i w Tradycji. Uformowany w ten sposób przez św. Tomasza system oparł się na filozofii Arystotelesa, czego dowodem jest „Summa przeciwko poganom” i „Summa

teologiczna”. Tak więc w samą porę pojawił się św. Tomasz, by uratować zachodnią część chrześcijaństwa od wpływów herezji albigensów i filozofii arabskiej.

Rzecz oczywista, że od trzynastego wieku wiele się zmieniło. Nie tylko rozwinęły się nauki ścisłe, ale i w zakresie filozofii i teologii chrześcijańskiej wypracowano systemy pełniejsze i dokładniejsze. Stąd św. Tomasz — zasłużony dla współczesnej sobie epoki — nie ma i nie możemy mieć dziś w nauczaniu filozofii i teologii pozycji największego i ostatecznego autorytetu. „Summa teologiczna” w wielu punktach jest przestarzała.

Mysł XX wieku szuka nie tylko nowych analogii, ale i nowego ujęcia Objawionej Prawdy Bożej — i znajduje je.

Natomiast cenne są dla nas jego hymny kościelne, a zwłaszcza eucharystyczne, wymienione na wstępie artykułu.

Głośnym echem wieść się rozniosła po świecie, że na bezbronnym człowieku Patrice Lumumbie i jego towarzyszach dokonano ohydnego morderstwa.

Jedyną „winą” premiera Konga było to, że pragnął wolności dla swego narodu, walczył o suwerenność swojej ojczyzny.

Ludzie, którzy przeżyli ostatnią wojnę i wszystkie jej wyrafinowane okrucieństwa są jakby stępieni na ból i cierpienie, na śmierć i na krzywdę. To jednak śmierć tego przywódcy narodu walczącego o wolność wstrząsnęła do głębi sumieniami ludzi, którzy mają sumienia.

Dali temu wyraz prości ludzie na całym świecie, uczeni i przywódcy wielkich i małych narodów. Dali temu wyraz parlamenty szeregu państw, uchwalając rezolucję potępiającą „rękę”, nie ślepy miecz.

Mord premiera Lumumby i jego towarzyszy obnaża cyniczne oblicze tych ludzi, którzy powołując się na prawa Boskie deptają prawo człowieka w imię materialnych korzyści.

Mord ten dokonany na bezbronnych ludziach rzuca cień na sekretarza ONZ, który ma być wykonawcą i realizatorem uchwał ONZ — Sumienia Narodów.

Zabójstwo działaczy kongijskich plami koronę ostatniego rzymskokatolickiego króla Belgii.

Słowa premiera Lumumby, który przed aresztowaniem powiedział, że:

„Stwórca dał nam ten kawał ziemi, jakim jest kontynent afrykański,

Do nas ona należy i my jesteśmy jej jedynymi gospodarzami. Jest naszym prawem uczynić ten kontynent — kontynentem sprawiedliwości, prawa i pokoju” — brzmią zza grobu jak akt oskarżenia.

Czyżby rzymskokatolicka Belgia i jej król uważali, że Stwórca inne narody uczynił ich pariasami, którzy mają pracować na nich i żyć w nędzy przez wieki?

Ministerstwa Spraw Zagranicznych mocarstw zachodnich znają słowa Lumumby, gdy pisał: „Zachód winien zrobić dziś rachunek sumienia i przyznać wszystkim terytoriom kolonialnym prawo do wolności i godności. Jeśli rządy państw kolonialnych... będą uważać uparcie Afrykę za swą własność, to będziemy zmuszeni uznać kolonizatorów za wrogów naszej emancypacji. W tych warunkach z zalem wypowiemy im naszą przyjaźń... Ludzie Zachodu winni zrozumieć, że przyjaźń nie jest możliwa w stosunkach poddaństwa i zależności...

Wyciągamy bratnią dłoń do Zachodu. Niech nam da dziś dowód poszanowania zasady równości i przyjaźni między rasami, zasady, której zawsze nauczali nas jego synowie na ławach szkolnych, zasady wypisanej wielkimi literami w deklaracji Praw Człowieka”.

Słowa te nie straciły na swej aktualności. Oskarżają nie tylko kolonizatorów lecz i ich duchowych patronów.

Można zamordować człowieka, uwięzić i pozbawić go wszystkiego co ma najdroższego. Ale nie można zabić prawa do wolności, do duchowego i kulturalnego rozwoju.

Przyjdą czasy kiedy o kolonializmie będzie się mówiło jak o ludożerstwie i takie czasy już idą.

Co powie historia o tych, którzy godzili w swych sumieniach prawa boskie i ohydne morderstwa bezbronnych ludzi, którzy na koronie nosili symbole wiary Chrystusowej i ślady ludzkiej krwi? (n.)



Błogosławieni...



Oczy wszystkich wierzących chrześcijan zwracają się na krzyż, który z drzewa hańby stał się symbolem największej miłości, poświęcenia i ofiary od czasu, gdy na nim zawisł Bóg — Człowiek.

Dlatego, gdy w okresie Wielkiego Postu oczy twoje spoczyna na krzyżu, tym odwiecznym symbolu miłości i ofiary, zapytaj samego siebie w skrytości, czym dla ciebie jest krzyż i jakie miejsce zajmuje w twym życiu.

Czy jest to tylko drewno o specjalnym

kształcie, rekwizyt w pokoju lub zawieszona na złotym łańcuszku ozdoba twojej szyi, czy symbol Prawdy ukrzyżowanej, która zmartwychwstała i w ciągu stuleci świadczy ludziom, że nie ma Wielkiej Niedzieli bez Wielkiego Piątku.

Błogosławieni ci, którzy w okresie Wielkiego Postu potrafią choć na krótko oderwać się od zgiełku życia i stanąć pod krzyżem w samotnym milczeniu.

Błogosławieni, którzy u stóp krzyża potrafią robić obrachunki z własnym życiem i z własnym sumieniem.

Błogosławieni, którzy Prawdą krzyża oceniają wszystkie sprawy codziennego życia i wszystkie wartości.

Błogosławieni, którzy zawsze pamiętają, że „za wszystkich umarł Chrystus, aby ci, którzy żyją, już nie sami sobie żyli, ale Temu, który za nich umarł i zmartwychwstał” (2 Kor. V. 15).

WYCHOWANIE OD URODZENIA



WSZYSTKIM chyba rodzicom znany jest ten wstrząs, który przeżywają, gdy biorą na ręce nowonarodzone dziecko. Odczucia ojca i matki są inne, ale wspólne jest obojętne wrażenie wruszającej kruchości tej małej istotki, jej zupełnej bezradności, pewność, że zginęłaby ona bez ratunku w ciągu doby bez nieustannej opieki rodziców. Wychowywanie dziecka zaczyna się co najmniej od pierwszej chwili po urodzeniu, gdy rodzice zdają sobie sprawę, że muszą wszystkie swe siły oddać dziecku. Dziecko zawsze poszerza nasz świat chociaż o jednego człowieka, którego kochamy i toruje drogę do innych ludzi, do coraz szerszego obejmowania miłością ludzkości i świata. Dlatego, jakże często już pierwsze dziecko zmienia rodziców w sposób radykalny i zdecydowany: zmienia ich styl życia, ich stosunek do siebie i innych. Kiedy bierzemy na ręce owinięte w pieluszki ciało, kiedy wyczuwamy jego kruchość i delikatność, kiedy cieszymy się pierwszym bezzębnym uśmiechem, to nie myślimy zwykle o dalekich sprawach i trudnościach, jakie życie postawi przed dzieckiem i przed nami. Tak trudno sobie wyobrazić, że kiedyś to małe ciało będzie silne, że ta rączka będzie garścią, która się będzie mogła zacisnąć na rękojeści narzędzia pracy. Jakież będzie ten nasz syn czy córka?

Na razie byle było zdrowe, dobrze jadło, przybierało na wadze. A skoro przyjdzie czas na wychowanie, wówczas... Okres niemowlęctwa to okres niezmiernie ważny, okres przedszkolny to już fundament pod całe życie, to już ujawnione czy nabyte wady, które jakże trudno jest wykorzystać, czy też zalety, które łatwo jest spaczyć.

I nieraz rodzice stoją przed zagadnieniami: co robić? Jak zareagować? Jak nauczyć? Jak wykorzystać? Dziecko małe posiada już własny świat, którego zazdrośnie strzeże. „Małe dzieci — mały kłopot, duże dzieci — duży kłopot” — powiada przysłowie.

Niejeden rodzic czy matka myśli sobie: „Tędy to jeszcze materjał, gdy dojdzie do rozumienia, przekonam, naprawię”. Żłudzenia!

Więc wychowanie — tak! Więc zaraz, niemal od pierwszych dni — tak! Rodzice sami powinni coś wiedzieć o psychologii wieku dziecięcego, powinni czytać, obserwować, interesować się tymi zagadnieniami.

Jeden rzut oka na stosunki panujące w rodzinie złożonej z kilkorga dzieci pozwala stwierdzić, że gdy niemowlę ćwiczy swe członki przygotowując je do ujmowania przedmiotów, chodzenia i biegania, gdy dwuletnie poznaje świat przedmiotów, trzyletnie zdobyła mowę ćwiczy w nieustannych mono- i dialogach, nie troszcząc się o słuchaczy, lub rzuca pytanie nie czekając na odpowiedź, cztero- i pięcioletnie psoci i opiera się, aby formalnie wyćwiczyć swą wolę, to dziecko rozpoczynając naukę szkolną jest nią całkowicie pochłonięte, siedzi przy swoim stoliku i zatykając uszy oddaje się czytaniu książek — zapominając o całym świecie, nawet nie zawsze reaguje na dźwięk swego imienia.

Dziecko w tym okresie jest naprawdę żądne wiedzy i często ma już swoje ulubione dziedziiny zainteresowań, a wówczas wykazuje niezwykłą spostrzegawczość oraz pilność w zbieraniu wiadomości, tak wytrwała jak nigdy przedtem ani potem.

Dziewięcioletni chłopiec zna i rozróżnia systemy aut, samolotów lub parowozów, w kieszeniach gromadzi kamienie, gwoździe druty, sznurki, które są jego narzędziami pracy i materiałem do świadczalnym. Poszczególne zainteresowania dadzą się zauważyć w upodobaniu do kolekcji np. znaczków pocztowych, owadów, roślin, herbów miast itp.

Prawda, że kieszenie spodenek i marynarek cierpią od tego bagażu, ale coż robić... — trzeba je częściej naprawiać. Zainteresowania dziesięcioletnie zwracają się do kolorowych papierków, do wypełniania albumów nalepiankami, czemu oddają się niekiedy z niemalą dozą smaku estetycznego. Lubią swe obowiązki szkolne, a rolę gospodyni klasowej uważają za największy honor i czują się nią szczególnie wyróżnione.

Więc rodzinna oślabia się, dziecko opuszczając swe pierwsze środowisko wychowawcze, jakim był dom, o ile przedtem nie uczęszczało do przedszkola, teraz żyje w szerszej społeczności, jaką jest szkoła a w niej gromadka rówieśników. Ignacy Jan Paderewski z prostotą powiedział o sobie: „Na popularność i wielkość geniusza składa się w 90 procentach niestrudzona praca, w dziewięciu genialność, a jeden procent zaliczyć można na karb szczęścia, po-

wodzenia”. Gdy dziecko zaczyna zajmować się książką, trzeba uważać, co czyta, bo wprost nie wiadomo, jakimi drogami dostaje bezwartościowe książki.

Często się słyszy, jak dzieci krytykują swoich wychowawców. Przykry to bardzo objaw, a skąd pochodzi?

Przyczyną tego jest nietaktowne zachowanie się starszych wobec dzieci.

Rodzice i starsi nie zwracając uwagi na obecność dzieci obmawiają sąsiadów, krytykują nauczycieli. Czasem i dziecko wtrąca swoje uwagi, a rodzice nie tylko mu tego nie zabraniają, ale się śmieją i duma rozpiera ich pierś, że dziecko takie mądre.

Uważam, że takie postępowanie starszych równa się zbrodni, bo zatruwa dusze dziecka nienawiścią do ludzi, którym winno się wdzięczność za ich trudną pracę. A przecież te gadania płyną nie z miłości bliźniego.

Słyszałem i to nieraz, jak dziecko żaliło się do matki, na „ni-by to” niesprawiedliwe postępowanie wychowawcy w stosunku do niego. Matka zamiast zbadać, jak się rzecz przedstawia w rzeczywistości, bez żadnego zastanowienia się, głosem podniesionym mówi: Co? — Trzeba mi było powiedzieć to, Co on sobie myśli? Nie znam go, czy co? — Pójde i nagadam mu do słuchu.

W ten sposób podrywa się autoritet nauczyciela. Dziecko potem cichutko po kątach opowiada, co jego mamusia mówiła o wychowawcy, zaczyna również lekceważyć swego nauczyciela, bo do pew-

nego wieku matka jest wyrocznią dla dziecka.

Jeżeli chcemy i pragniemy zaszczerbić miłość i szacunek, i zaufanie u własnych dzieci, nauczmy je szanować starszych, a przede wszystkim wychowawców. Niech ten szacunek, cześć nie wypływa z bojaźni przed złym stopniem, ale z miłości do wychowawcy. Trzeba sobie zdać sprawę z trudu i ciężkiej pracy nauczyciela.

My, rodzice, mamy zaledwie po kilkoro dzieci, a jak niedostatecznie sobie radzimy, a coź mówić o pracy wychowawcy, gdy każda szkoła ma ponad normę dzieci.

Jeżeli stosunek naszych dzieci jest do szkoły niewłaściwy, nie trzeba żałować ani czasu, ani trudu, by sprawę wyjaśnić. Każdy wychowawca chętnie służy wyjaśnieniem, wskazówkami. Wychowanie dziecka powinno się opierać na współpracy wszystkich czynników, a przede wszystkim rodziny i szkoły. O ile tego nie będzie dziecku zabraknie przygotowania życiowego, co wyjdzie na szkodę i rodzinie, i społeczeństwu. Tu chodzi o wychowanie człowieka, w przyszłości ojca czy matki, obywatela.

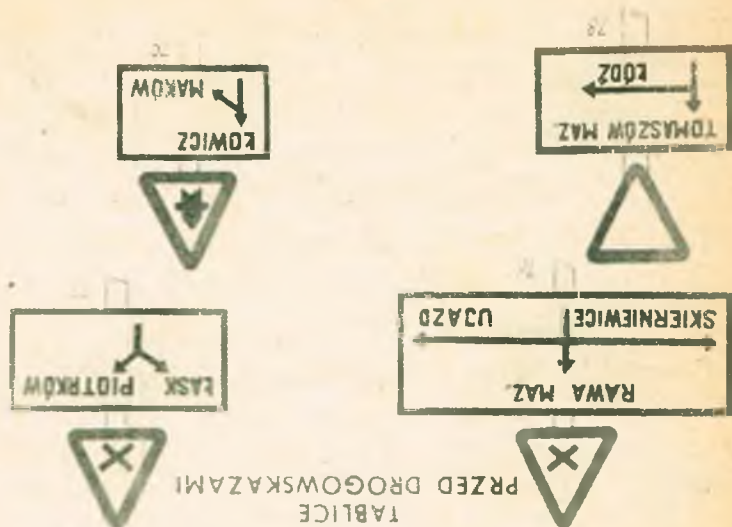
Biorąc dziecko w obronę w niesłusnej sprawie i szukając winy u wychowawcy, utwierdzamy dziecko w przekonaniu, że ono win nie ma, błędów nie robi i że powinno się błędów i win dopatrywać u bliźnich. Za młodu kształtujemy człowieka — sobka egoistę, mizantropa, tyrana dla otoczenia.

Uczmy też dzieci przyjaznego i serdecznego współżycia z kolegami. Niech dzieci o większych zdolnościach pomagają słabszym kolegom i bronia słabszych przed silniejszymi.

W. S.



„SŁONECZKO” CZEKA NA TWOJE LISTY CZY NAPISAŁEŚ JUŻ DO „SŁONECZKA”?



Podajemy Wam, Miłośnicy Czytelnicy, dalszą część znaków drogowych. Odgadnijcie, co który znak oznacza. Rozwiązanie, z podaniem dokładnego adresu, wieku i klasy, przyslijcie na adres naszego tygodnika „Rodzina”, z dopiskiem na kopercie: „Krzyszowska drogowa IV”.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa po dwu tygodniach od daty ukazania się numeru „Rodzina”. Za prawidłowe rozwiązania zostaną rozdane między uczestników „Konkursu Drogowego” piękne nagrody książkowe.

KRZYSZÓWKA DROGOWA

winien nabrać zaufania do mojej osoby. Na takich zabiegach upłynął mi cały dzień, ale zajaczek spod komody nie wyszedł...

— Wyjdzie w nocy — pomyślałam sobie, grzecznie idąc spac po kolacji.

Jakież było jednak moje zmartwienie, kiedy się rano przebrałam, że zajaczek ani kory nie ruszył, ani kapusty nie napolcał, ani nawet mleka nie spróbował!

Tak upłynął jeszcze jeden dzień, podczas którego zauważyłam, że zajaczek już nie tak skwapliwie i szybko ucieka do kątów.

— Pewno już się oswoił... — pomyślałam sobie ucieszona i chociaż mój stolownik jeść nie chciał nadal, nie traciłam nadziei, że jakoś go do jedzenia namówię.

Trzeciego dnia mój zajaczek nie uciekał wcale. Gdzie go postawiłam, tam siedział nie poruszając się wcale, jednakże... nie wyglądał dobrze. Oczy mu jakoś zmętniały, mordkę coraz częściej opierał o podłogę i nie uciekał nawet wtedy, gdy go przestraszyłam.

— On chyba chory? — zaniepokoiłam się, ale... co mogłam poradzić? Kiedy ja byłam chora, cały dom był w ruchu, doktor, apteka, lekarstwa, wszystko było na zawołanie, a teraz? Nawet tatuśa nie było, żeby się poradzić.

Mijała godzina za godziną, a zajaczek wcale się nie czuł lepiej. Ani jeść nie chciał, ani uciekać nie miał zamiaru ani nawet poruszać się nie mógł.

— Zostaw mnie w spokoju — zdawał się prosić i chociaż serce mi się rozdzierało z żalu za takim ślicznym stworzonkiem, musiałam go zostawić w spokoju, z coraz większą niecierpliwością oczekując powrotu tatuśa.

Kiedy się wreszcie zjawił, wybiegłam do niego z lamentem okropnym, nie tracąc nadziei, że wszystkowiedzący tatuś i tym razem coś pomoże, zaradzi...

— Przecież ten zajaczek zdycha! — powiedział tatuś spojrzawszy na nieszcześnie stworzonko.

— I nic mu tatuś nie może pomóc?

— Nic. Ani ja, ani nikt mu nie może pomóc, bo po pierwsze — za późno! Po drugie...

Nie wysłuchałam dalszych wywodów tatuśa, bo się rozplakałam. Nie żał mi było lalki, którą zapłaciłam za posiadanie tak pięknego stworzonka, ale nie mogłam się pogodzić z myślą, że zajaczek jest nie do uratowania.

Wreszcie — zdechł.

Wtedy dobry tatuś wziął mnie na kolana i zamiast gniewać się — zapytał:

— Powiedz mi, jak ty myślisz? Czy gdybyś ty się dostał,

Przeżyłaj uważnie E-szataniska i wszyscy powinni w to uwierzyć i starać się tak żyć, by nie szatan przed zbieżnością? Ewangelista opisuje w uczyńki człowieka mieszkał w niej cud Pana Jezusa. Do Chrystusa przyprowadzono człowieka opętanego przez szataną. Pan Jezus uzdrowił go, nakazując zły siłom opuścić nie-szczęśliwego. Ludzie, którzy byli świadkami tego niezwykłego zjawiska i cudu, dziwił się. Posądzał nawet Pana Jezusa o to, że cudow tego rodzaju dokonuje przy pomocy szataną.

Chrystus Pan nie rozgrywał się na nich, ale cierpliwie i spokojnie wytłumaczył, że wy-rzucą czariv mocą Bożą a nie szataną.

Ludzie słuchali nauki Pana Jezusa cisli, skupieni, przejeżdżającą nauką cudowną i wdzięcznością oraz miłością napełnioną. A je-dna z niewiast stojących w tłumie zawołała w swiętym

PAN JEZUS MA WŁADZĘ NAD ZŁYMI DUCHAMI

Rok II WARSZAWA, 5. III, 1961 Nr 10

SŁONECZKO

Dodatek „Rodziny” dla dzieci

10

NIE WYCHOWA ZAJĄC CZŁOWIEKA

Tak się to jakoś dziwnie złożyło, że na imieniny dostałam dwie, prawie jednakowe lalki. Tyle, że jedna była „brunetka”, a druga — „blondynka”. Jeżeli ja miałam dwie, a Zosia Paculanka ani jednej, to czy można się dziwić, że Zosia postanowiła tę jedną, nadprogramową, ode mnie wycygnąć?

I rozpoczęły się wokół mnie jej zabiegi. A to mi proponowała, że mi pokaże dziuplę, w której sowa ma swoje małe, albo w pobliskich kamieniolomach grotę, gdzie się gnieźdzą nietoperze, a to wreszcie miałam od niej dostać jej popsuta kuchenkę i jeszcze bardziej popsuty wózek dla mojej lalki.

Oczywiście nic z tego nie wyszło, bo jeżeli moja mamusia miała dwie córki, to niby dlaczego ja nie mogłam mieć dwóch lalek?

Ale pewnego dnia — druga lalka zmieniła swoją „mamusię”. Zosia mianowicie przyniosła ślicznego żywego zajaczka, którego jej brat złapał w ogrodzie sąsiada. Zajaczek był wprawdzie mniejszy od mojej lalki, ale... znacznie ładniejszy, a przede wszystkim — żywy!

Ucieszona Zosia pobiegła z „brunetką” do domu, a ja zajęłam się zajaczkiem. Tatusia nie było w domu od kilku dni, bo gdzieś wyjechał, a mamusia nie interesowała się moimi zabawami, jeżeli tylko nie były bardzo hulaśliwe, więc nikt mi nie przeszkadzał w wychowywaniu, pieczeniu i karmieniu mojego zajaczka, oprócz... oprócz samego zajaczka.

Wystarczyło bowiem puścić go z rąk, choćby na chwilę, a on natychmiast uciekał pod szafę, pod komodę, za kredens, słowem wszędzie gdzie było ciasno, ciemno i kurz. Nic nie pomagały najczulsze słowa, głaskanie, częstowanie czekoladkami, cukierkami czy mlekiem — zajaczek uciekał, jak tylko wyrwał się z moich rąk.

Postanowiłam więc potraktować go inaczej. Kiedy uciekł pod komodę po raz niewiadomo który — wyszłam na dwór, i pamiętając, że zajęce przychodziły nieraz do naszego sadu obgryzać korę z młodych drzewek, odłupałam osiem dużych kawałków kory dla mojego nowego stolownika. Przypomniało mi się również, że zajęce lubią kapustę — zesłałam więc do piwnicy i oddarłam kilka wielkich liści kapusty.

Do picia przygotowałam wielki spodek mleka i wszystko to ustawiłam wokół komody, pod którą schronił się mój zajaczek. Powinien przecież zauważyć, jak ja o niego dbam, i po-

tego też największą miłością o-
ski Bożej i spokoju ducha. Dla-
pomoc w odzyskaniu ja-
na ziemi, aby ludzom
ka, przy swątylni w Jerzoli-
którego uzdrowił nad sadzaw-
dobnie powieździł do starca.
czają ci się grzechy twoje". Po-
wiedział: „Ufaj, synu, odpusz-
przez sułt w Kataranum, po-
Do paraliżka, spuszczonego
też króku przebaczał grzechy.
czenie miłosterny. Na każdym
niących. Był dla nich nieskon-
laczal grzeszników pokutę czy-



PAN JEZUS USWIECAŁ LUDZI

WASZ PRZYJACIEL

nie nigdy Go nie zasmucał.
niem zadawoła Pana Jezusa i
Stara) się swoim postępowa-
nca starsi.
tak, jak tego chce Bóg, jak nas
Bozego, to znaczy postępować
wsze, trzeba słuchać słowa
ze aby Go mieć w sercu za-
I dalej Pan Jezus tłumaczył
ją go".
słuchają słowa Bozego i strze-
owszem, błogosławieni, którzy
Pan Jezus odpowiadał: „I
takiego Syna.
jest Matka Jezusowa, która ma
umiesieniu, ze błogosławiona



przyjął zaproszenie na obiad
do Lewi, celnika, późniejszego
św. Mateusza. Pan Jezus odpow-
wiedział, że lekarz potrzebny
jest nie zdrowym, ale źle się
mającym (chorym); sam się
więc nazwał lekarzem chorych
dusz.

Ufaj Jezusowi i w nieszczę-
ściu, gdy popełnisz grzech,
zwróć się do Niego z żalem i
miłością, a On ci przebaczy i
serce napelni Swą łaską oraz
uczyni Swoim mieszkaniem,
żywym tabernakulum.

Ks. E.K.



liczne jej grzechy, bo wielce
umiłowała". Do grzesznicy,
która prowadzono już na
śmierć dla jej publicznych
grzechów, odezwał się Pan Je-
zus po uwolnieniu jej z rąk
oprawców: „Ja ci nie potę-
pię. Idź, a nie grzesz więcej!”
Kiedy Mu wyrzut czyniono, że

Czy piórkem, czy ołowczkiem

koresponduj ze

„SŁONECZKIEM”

swym wieku. Interesuje ją zbieranie widokówek, piosenek, fotoso-
w. Lesku. woj. Rzeszow, chętnie pozna się z koleżanką lub kolegą w
Koleżna Janna, uczennica, kl. IX Liceum Ogólnokształcącego w
temat: lekury przeczytanej itp.

się zbieraniem znaczków pocztowych, widokówek, wymiany zdań na
korespondencję z koleżanką i kolegą w kraju i za granicą. Interesuje
Krosno n W, woj. Rzeszow, lat 12, chętnie pozna i urzyzywać będzie
Wierdak Stanisław, poczta i miejscowość Łeki Dukietkie nr 13, pow.

Zna doskonale poza ojczystym język niemiecki i rosyjski.
widokówek, piosenek, fotoso- aktor-
swym wieku w kraju i za granicą. Interesuje się zbieraniem znaczków,
Kiejska 13a m 2, pragnie korespondować z kolegą lub koleżanką w
Zofia Koneczna, lat 16, uczennica P. L. M. zam. Bydgoszcz, ul. Na-

POZNAJMY SIĘ



Maria Subak-Krzywańska

Waż. Bądź i ty tak słowny i szlachetny jak był twój rodak z Garbo-
Sława Zawiszy Czarnego przetrwała wieki! Jest znana do dziś
rzuć się do walki, w której poniosł bohaterką śmierć.
szy w niebezpieczeństwie. Odesłał jódz i dając przysłał innym.
ucieczki, uważając, że nie godzi się rycerzowi opuścić towarzys-
pieczne miejsce. Zawisza bez namysłu odrzucił propozycję
tajemnie przysłał po niego jódkę, chcąc go przewieze w bez-
Władca węgierski! Chca ratować sławnego polskiego rycerza, po-

między zajączki, to one dałyby ci butkę z masłem, garnuszek
kawy, talerz zupy, dałyby ci później koldrę i poduszkę, że-
byś miała gdzie spać?

— Na pewno nie!
— I umarłabyś między nimi z głodu, z zimna, z niewygód.
No, widzisz... I tak jak zajączki nie będą nigdy wychowywać
ludzi, tak i ludzie nie będą wychowywać zajączków. Ludzie
są przyzwyczajeni do domu, do łóżka, do talerza gorącej zupy,
kawalka mięsa, a zajączki do swobody, do lasu, do trawy
i nie ma na to rady.
Od tego czasu przyrzekłam sobie solennie, że ani sama nie
pójdę do zajączków na wychowanie, ani ich więcej łapać
i wychowywać nie będę.

HANNA URBANEK

„POLEGAM JAK NA ZAWISZY”

O Zawiszy Czarnym z Garbowa, sławnym rycerzu polskim,
zwycięzcy w wielu turniejach, uczestniku walk pod Grunwal-
dem w 1410 r. i wielu innych bitew, o jego szlachetnym życiu
i bohaterskiej śmierci mówiono w całej Europie.

Historyk polski. Jan Długosz, napisał o nim w swej kronice,
że był w bitwie mężem najbardziej śmiałym, zaś w radzie naj-
bardziej rozważnym.

Zawisza Czarny wślawił się męstwem w bitwie z Krzyżakami
pod Grunwaldem. W czasie pokoju brał udział w licznych tur-
niejach, walcząc z najbardziej znanymi wówczas rycerzami w
Europie. W rozum i sprawiedliwość Zawiszy wierzyli nie tylko
rodacy, ale także wrogowie. Gdzie walczono o słuszną sprawę
orężem czy słowem, tam podążał również sławny rycerz z Gar-
bowa.

Kiedy między Władysławem Jagiełłą a królem węgierskim
Zygmuntem doszło do zatargu, Zawisza pojechał na Węgry jako
pośrednik dla pogodzenia obu monarchów.

Gdy król Zygmunt walczył z Turkami, przyłączył się do niego
także Zawisza. Węgrzy oblegali gród Gołubiec, zajęty przez woj-
ska tureckie. W czasie walki król Zygmunt zmienił plan i wy-
cofał wojsko spod grodu, a tylko zostawił garstkę żołnierzy,
wśród których znajdował się również Zawisza Czarny. Mała
garstka rycerzy została zamknięta przez wroga w potrzasku.

DYPLOMATKA DOMOWA

(Tylko dla mężatek)

W dzień mojego ślubu otrzymałam od rodziny, krewnych, przyjaciół i znajomych wiele serdecznych życzeń. Ojciec życzył mi, żebyśmy się szybko dorobili, matka — zdrowych dzieci, ciotki wiernego i dobrego męża. Jedna tylko babcia starszka wylała się z tych stereotypowych, chociaż wypowiedzianych w jak najlepszej intencji, życzeń. Swym przyciszonym, lecz dobitnym głosem, powiedziała:

— A ja ci życzę, moje dziecko, abyś nigdy nie rozpoczynała ze swoim mężem rozmowy. dyskusji, abys go nigdy o nic nie prosiła, dopóki go nie nakarmisz. Jeżeli będziesz o tym pamiętać, możesz być prawie pewna małżeńskiego szczęścia...

Uśmiełam się serdecznie z powiedzenia babci, czym ona wydała się być nieco zgorzsona. Po jakimś czasie, gdy byłam mniej zajęta, poprosiłam, aby mi tę swoją „wiedzę życia“ szerzej wytłumaczyła. Chętnie zgodziła się. Usiadłyśmy przeto obie na tapczanie, a babcia zaczęła:

— Tę zasadę, którą ci podałam zdobyłam również od swojej babci, która w dniu mojego ślubu, a było to bardzo dawno, tak samo mi życzyła, jak ja tobie. Życie, moja droga, biegnie rażno, więc ja szybko zapominałam o babcinej radzie i przestrodze. Ale — na krótko. Po pierwszej zasadniczej wymianie zdań ze swoim mężem i małżeńskiej scenie, która miała miejsce pewnego zimowego poranka przed zjedzeniem śniadania, stwierdziłam, że moja babcia miała jednak rację. Od tego też momentu zaczęłam eksperymentować. Jeśli chciałam, by mąż uporządkował mieszkanie, nie występowałam z taką propozycją wcześniej, zanim nie lyknał odpowiedniej porcji śniadaniowych kalorii i nie wzmochnił nimi swoich męskich sił i swego „słabego“ systemu nerwowego.

Jeśli chciałam, aby skoczył z koszyczkiem do sklepu po kartofle i jarzyny, nie przypominałam mu o tym podczas golenia w łazience, gdzie gwizdał swoje ulubione „Fale Dunaju“ (gwizdanie melodii nie jest bynajmniej oznaką dobrego humoru), lecz dopiero wtedy, gdy polepszył swoje samopoczucie śniadaniem lub inną zakąską.

Szybko miałam możliwość stwierdzić, że przepis na „szczęście małżeńskie“ dany mi przez moją babcię nie jest tak bardzo pozbawiony sensu, że od tych drobnych, życiowych wybiegów bardziej nieraz zależy domowa zgoda i harmonia między małżonkami, niż od tak zwanych spraw zasadniczych, które podciąga się pod wspólny mianownik „uczuciowej spójni małżeńskiej“.

Ale, niestety, moja droga, za mało kobiet posiada w dostatecznej mierze zapas niezbędnej „filozofii“ i „dyplomacji“ domowej, potrzebnej w skromnym wymiarze, bo tylko na użytek dwóch osób i tylko na określoną przestrzeń czterech ścian domowego ogniska. Nie chę tu naturalnie bagatelizować wiele tragedii małżeńskich, których przyczyną jest niezgodność charakterów, pijaństwo męża, brak solidarności w ponoszeniu wspólnych, życiowych trudów, jakie przynosi każdy dzień. Jestem już stara. Wiele przeżyłam, a jeszcze więcej widziałam. Uważam jednak, że wielu nieporozumień, wielu też zszarpanych nerwów, godzinami lub tygodniami ciągnących się gniewów i dąsań dałoby się uniknąć, gdyby kobieta-mężatka posiadała obok zdolności pieczenia szarlotki i talentu prasowania męskich kołnierzy i mankietów także i wiedzę o budowaniu małżeńskiego szczęścia i nieistotnych na pozór, a jakże ważnych drobiazgów.

Z własnego doświadczenia orientuję się doskonale w domowej dyplomacji, dlatego nikt i nigdy nie przekona mnie, że z rozczochraną głową, w niedopranym szlafroku i przydeptanych bamboszach można przekonać swego

męża, że miłość to rzecz wspaniała i że jeszcze nie tak dawno ona naprawdę była piękną dziewczyną... Dlatego też ciebie, moje dziecko, jak najbardziej zachęcam do uprawiania dyplomacji i to w czystej odzieży i schludnie, choć nie przesadnie, utrzymanej fryzurze. Bo, przysięgam ci, że gdybym była mężczyzną, o wiele lżej byłoby mi wysłuchiwać poleceń: „kochanie, przynies wiadro wody, skocz po węgiel do piwnicy“ itp. od żony uśmiechniętej i schludnej, niż takiej zaniedbanej i ubranej w brudny fartuch, bo przecież „jemu“ i tak wszystko podoba się u mnie...

Nie wszystko, moja miła, nie! Nie bądz nigdy pod tym względem zbyt pewna siebie i nie sądz, że milczenie męża na temat zaniedbanego domowego stroju i wyglądu żony jest równoznaczne z jego aprobatą i nieustającym zachwytem nad kobiecą urodą, wyglądem i wdziękiem. Wbrew wszystkiemu, co zwykliśmy sądzić o mężczyznach, posiadają oni silnie rozwinięty zmysł spostrzegawczości i obserwacji. Jeśli nie dziś, nie jutro, to za miesiąc, za dwa, za rok brudne ubranie zaczyna ich razić. Stają się wówczas jacyś bardziej opryskliwi, mniej czuli i coraz rzadziej odzywają się „mój skarbie“, „moje kochanie“ itp. Mężatki wówczas lamia sobie głowę, co jest przyczyną tych zmian. I nawet wielu nie przychodzi na myśl, że właśnie kością niezgody staje się po prostu zaniedbanie żony.

Jestem jeszcze młodą i nie jestem zbyt doświadczoną, jednak wydaje mi się, że moja kochana babcia ma świętą rację, gdy chodzi o szczęśliwe pożycie małżeńskie. Wiem, że wszystkie mamy pracy nie na 8, ale na 24 godziny dziennie, ale mimo wszystko trzeba zdobyć się na „dyplomację“ domową, gdyż o wiele łatwiej jest utrzymać szczęście małżeńskie przy pomocy tych drobnych sztuczek, niż potem gonić i szukać go, gdy odejdziesz daleko, nie wiadomo w jakim kierunku.

Bo czy na szczęście można dać receptę? Czy jest przepis na zgodę w domu? Niestety, żaden lekarz, a znam ich bardzo dużo, ani żaden filozof nie da takiego przepisu, ani nie wskaże wspaniałego środka. Jedyna rzecz, na którą możemy zdać się w pełni, to jest nasz prosty, a jakże niezawodny, kobiecy instynkt. Instynkt, który powie nam: nie mów wchodzącemu w próg mężowi o tym,



że wystąpiłaś się dziś w kolejce za mięsem lub cytrynami, że bołą cię nogi i że w ogóle masz tego wszystkiego po dziurki w nosie. W momencie, gdy twój mąż wiesza płaszcz w przedpokoju po powrocie z pracy, zamilcz o swoich kobiecych sprawach i kłopotach. Na pewno jest głodny, być może boli go głowa, być może miał przykrości w pracy itp. Twoje narzekanie wówczas, najbardziej nawet szczere, będzie ową przesłowiową kropką nad „i“. Zamiast wysłuchać ich ze zrozumieniem i zliłować się nad twoim zmęczeniem, wybuchnie i powie, że on też ledwie żyje i nie go nie obchodzi twoje sprawy. Poczekaj więc ze wszystkim. Zjedzcie wspólnie obiad. Odpocznijcie wspólnie przez kwadrans przy lekturze dzienników lub przy pięknej muzyce, którą znajdziesz w radio, a wówczas dopiero możesz podjąć rozmowę na temat swoich kłopotów. Możesz go wówczas poprosić, by pomógł ci pozmywać i sprzątnąć ze stołu. Taka metoda z pewnością odniesie skutek i będzie lepszą niż ciągle narzekanie, biadolenie.

Nie jestem poetką, choć próbuję czasem pisać wiersze. Nie umiałabym napisać wiersza o zaczarowanym kręgu i ciepłym domowym ognisku w blasku różowej lampy. Jestem przekonana jednak, że wieczory przy takiej właśnie lampie przytulnej z rzucającym różowo-pomarańczowe światło abażurem są nieodpartym magnesem. Jeśli jeszcze w pokoju jest ład i porządek zrobiony twoją ręką, jeśli potrafisz uatrakcyjnić rodzinne popołudnie dobrze zaparzoną szklanką kawy lub herbaty i kilkoma kruchymi ciastkami podanymi właśnie „jemu“ i sobie, a nie tylko kupowanymi z okazji gości, jeśli umiesz znaleźć ładną muzykę w radio lub z płyt, to przyznam szczerze, że masz wielką szansę na dyplomatkę domową... I nie innego wówczas nie pozostaje, jak tylko powinnować twemu mężowi i tobie.... Tyle ja. A co wy, moje Kochane, myślicie o tym?





Kościół św. Piotra i Pawła w Szczecinie jest nie tylko niezwykle oryginalnym tworem architektury, lecz jego wartość zabytkową wzbogaca także ciekawa historia. Miejsce, na którym dzisiaj wznosi się jego prosta późnogotycka sylweta, związane jest z początkami chrześcijaństwa na Pomorzu Zachodnim. Cofnąć się więc należy wstecz, do czasów, gdy Wolin był jeszcze największą potęgą morską na Bałtyku. W sierpniu 1124 r. biskup Otton z Bambergu wracając z ówczesnej wolińskiej stolicy biskupiej do swej ojczyzny, zatrzymał się na trzy miesiące w Szczecinie. W związku z chrztem patrycjatu i rzesz mieszczaństwa biskup Otton polecił zbudować drewnianą bazylikę „in medio foro”, czyli na targowisku przy porcie, który znajdował się w zakolu Odry. u podnóża „montis Trigelawi” (wzgórze zamkowe). Lokalizacja tej bazyliki pokrywałaby się z położeniem kościoła św. Piotra i Pawła. Przeznaczono ją dla mieszczaństwa, a drugi kościół św. Mikołaja na „wzgórzu Trzygłowa” dla dworu książęcego i patrycjatu. Gdy po 1170 r. zaczął się napływ przybyszów z Saksonii, Turynii i Frankonii, wywiązał się między ludnością niemiecką i słowiańską spór o użytkowanie bazyliki, który w efekcie zmusił Niemców do wzniesienia trzeciego z kolei kościoła, tym razem kamiennego, p. w. św. Jakuba. Spór rozstrzygnął w 1237 r. ks. Barnim I, przydzielając obu gminom obiekty wg stanu z końca XII w. Element niemiecki w Szczecinie przybierał nadal na sile, skłaniając księcia w 1243 r. do nadania miastu prawa magdeburckiego. Konsekwencją tego było odcięcie murami obronnymi i fosą ziemionego miasta od słowiańskiego Chyże z kościołem św. Piotra i Pawła. Nie jest wykluczone, że w ciągu XIII—XIV w. miejsce drewnianej budowli zajęła kamienica czy ceglana, na wzór murowanych kościołów zakonnych franciszkanów i cysterek nad Odrą.

Na początku XV w. kościół św. P. i P. nazywany był kościołem filialnym kielbaśników, skupiającym w swej gminie biedotę miejską (łaziebników i tragarzy) oraz rybaków ze słowiańskiego przedmieścia zw. Dolne Chyże. u podnóża obecnych Wałów Chrobrego. Około 1440 r. zbudowano wg ówczesnej mody dekoracyjnego kształtowania architektury późnogotyckiej niewielki kościół trójnawowy, halowy (tzn. o nawach równej wysokości). Wniosła go najuboższa część mieszkańców Szczecina, składająca się w głównej mierze ze Słowian zepchniętych do drugorzędnej roli w mieście. Odbiło się to niewątpliwie na rozmiarach kościoła, odpowiadającego większym kościołom wiejskim. Monumentalność wnętrza miało podnosić 10 filarów. Elewacje nawiązywały do świątynnych modeli wzorcowych, jakimi były dekoracyjne ambity (obejście prezbiterium) kościołów Mariackich w Stargardzie i Chojnie. zaliczane do tzw. szkoły Henryka Brunsberga. Ścianę między szerokimi ostrołukowymi oknami zdobiły pionowe pasy, zw. lizenami z niszami, w których pierwotnie stały prawdopodobnie fi-

gury świętych wsparte na konsolkach, utworzonych z ceramicznych, realistycznie modelowanych głów, wyobrażających charakterystyczne twarze mieszczan (zdjęcie 4). Lizeny były zewnętrznymi odpowiednikami szkarp wciągniętych do wnętrza. Budowa kościoła św. P. i P. cieszyła się zapewne czynnym poparciem księcia, ponieważ przed ołtarzem kazał umieścić kryptę dla Gryfitów (ród książąt szczecińskich). Było to zresztą jedno z licznych pomieszczeń sepulkralnych książąt, których chowano także w Kołbaczu. Kamieniu Pom., Darlowie oraz innych kościołach szczecińskich. Niemniej niewielkie oddalenie kościoła od zamku skłoniło księcia do umiejscowienia właśnie tutaj dla swej rodziny książęcej empory (zdjęcie 6). Pod emporą mieściła się zakrystia i kapliczka św. Piotra i Pawła. Z zewnątrz w ścianę zakrystii wmontowano dwie płyty wapienne, wyobrażające patronów kościoła z niszą jałmużniczą między nimi (zdjęcie 3). Znajdują się w niej dwa otwory na monetę ofiarowywaną dla każdego z Apostołów z osobna. Przy przedłużeniu kościoła o jedno przęsło w kierunku zach., co nastąpiło ok. 1500 r., na środku w poprzek kościoła wykopano dużą kryptę książęcą, otwartą dla parafian dopiero od 1620 r. za zezwoleniem ostatniego Gryfity, Bogusława XIV. Ten sam książę dał odnowić wnętrze i pokryć je renesansowymi malowidłami, które na podstawie fragmentów zostały w 1924 r. zrekonstruowane.

Kościół w czasie oblężenia Szwedów w 1677 r. uległ poważnemu zniszczeniu. W wyniku bombardowania artyleryjskiego zapaliła się więźba dachowa. Jesienne deszcze, wiatr i dalsze ostrzeliwanie dopełniły miary zniszczenia. 3 października 1677 r. powiał silny wiatr zachodni. Wolnostojący szczyt zach. runął wraz z sygnaturką na sklepieniu, burząc je wraz z kilkoma filarami. Jeden z dalszych filarów roztrzaskał granat. Odbudowa trwała 25 lat. Z przyczyn materialnych porzucono projekt rekonstrukcji trójnawowej hali i w 1702 r. przykryto wnętrze pseudosklepieniem z drewna z olbrzymim plafonem w środku, przedstawiającym Sąd Ostateczny. W takim stanie oglądamy dzisiaj architekturę tego jedyne go zabytkowego kościoła w Szczecinie oszczędzonego przez ostatnią wojnę. Obecnie przeprowadzana jest w kościele daleko idąca restauracja, usuwająca nie tylko ślady uszkodzeń, lecz również nieestetyczne wtręty neogotyckie z 1817/18 r.

mgr Zbigniew Radacki

OD REDAKCJI

Kościół św. Piotra i Pawła w Szczecinie to kościół polskokatolicki. Tak jak przed wiekami był ostoją ducha słowiańskiego tak dziś jest bastionem polskości nad Bałtykiem.

Rozbrzmiewa w nich co niedziela polska modlitwa, a kapłan polskokatolicki sprawuje ofiarę w języku ojczystym

Dzięki trosce władz państwowych o zabytki kultury, trwa obecnie remont świątyni, aby przywrócić jej dawny wygląd i uczynić ją godnym przybytkiem naszej wielkiej idei.

Ju





kościół Maryjny w Wrocławiu



W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ PADAJĄ KLĄTWEY

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z CAP HAITIEN)

W KONCU listopada r. ub. deportowani zostali z Haiti¹⁾ dwaj rzymskokatolicki biskupi, obaj Francuzi.

Decyzję władz spowodowała działalność rzymskokatolickiego, który zmierzał do obalenia rządów prezydenta Duvalier.

Dlatego rząd Haiti wydał nakaz wydalający z wyspy biskupa Francois Poirier i jego zastępcy, Remy Augustin. Jednocześnie wydano czterech księży rzymskokatolickich, również pochodzenia francuskiego.

Rzecz cała polegała na tym, że wyspie, która dawniej nosiła nazwę San Domingo, siłowali Amerykanie narzucić swój styl życia i swój system gospodarczy, w wyniku którego Haiti miała uzależnić się na długie lata od obcego kapitału. Pionierami tej koncepcji szczęścia²⁾ byli czolowi przedstawiciele hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego na Haiti. Ale mieszkańcy Haiti podzymywali z całą stanowczością swój rząd. Rząd ten był atakowany bez przerwy przez kler rzymski, który działał w oparciu o dyspozycję kardynała amerykańskiego Spellmana.

Na wiadomość o deportowaniu biskupów polityków, działających przeciw interesom Haiti pod dyktando amerykańskich mocodawców — Watykan zapłonął srogim gniewem. Jak to? Ten kraj, zamieszkały przez rudnych i dzikich Murzynów, kraj, który otrzymał tyle „dobrodziejstw“ ze strony „białych, śmie buntować się przeciw „ojcowcic“ polityce purpuratów rzymskich? I na cześć wystąpiła Kongregacja Świętego Oficjum, która ekskomunikowała wszystkich haitańczyków, którzy mieli coś wspólnego z wydalaniem rzymskokatolickich biskupów i księży przeciw Republice.

Odpowiedni dekret został opublikowany w watykańskim „Osservatore Romano“, w dniu 12 stycznia 1961 r. Dekret ten nie wyraża wprawdzie z imienia i nazwiska osób, przeciw którym jest skierowany, ale jego treści niedwuznacznie wynika, że na czele ekskomunikowanych znajduje się prezydent Haiti — Francois Duvalier, który jest rzymskim katolikiem, kierując się interesem swego państwa — podpisał zarządzenie nakazujące wysiedlenie watykańskich dyplomatów.

W BOLIWII³⁾ EKSKOMUNIKOWANO 51 PARLAMENTARZYSTÓW

W Boliwii od dłuższego czasu przeprowadzana jest kodyfikacja prawa. Między innymi tematem prac specjalnej Komisji Kodyfikacyjnej stało się prawo małżeńskie.

Ustawodawstwo boliwijskie dopuszcza rozwody z uzasadnionych powodów. Odpowiednie prawo uchwalone było w 1932 r., obowiązywało i obowiązuje do dnia dzisiejszego. Obecnie parlament boliwijski rozzerzył jedynie ustawę z 1932 r. i przyznał obywatelom boliwijskim, którzy zawarli związki małżeńskie poza granicami kraju — prawo uzyskania rozwodu na równi z innymi obywatelami tej republiki.

Po uchwaleniu tej poprawki do ustawy o prawie małżeńskim boliwijska hierarchia kościelna ekskomunikowała 11 senatorów i 40 deputowanych, którzy głosowali za poprawkami, równającymi w prawach Boli-

wijczyków, biorących śluby w kraju i poza jego granicami.

Po raz pierwszy w dziejach Boliwii zaszedł tego rodzaju wypadek. Prasa rzymskokatolicka nie wyjaśnia, czy krok ten został uzgodniony z Watykanem. Informuje jedynie, że na liście ekskomunikowanych znajduje się przewodniczący Senatu boliwijskiego Ruben Julio Castro.

ZERWAĆ Z RYZEMEM!

Podobnie jak i na Haiti źródłem działania przeciw parlamentarzystom boliwijskim stała się hierarchia kościelna, która pod dyktando kapłana, Amerykanina Spellmana, wystrzeliła najcięższy pocisk w postaci „klątwy“ w stosunku do tych, którzy w sposób rozsądny równouprawnili Boliwijczyków w zakresie obowiązujących przepisów państwowego prawa małżeńskiego.

Rzucając ekskomunikę na haitańczyków i boliwijczyków rzymscy purpuraci nie przewidzieli jednego: że przebrała się miara rzymskich nieprawności.

W prasie obydwu krajów pojawiły się artykuły, w których omawia się sprzeczną z ideą Chrystusa działalność rzymskiej hierarchii w Boliwii i na Haiti.

Długi jest rejestr grzechów rzymskokatolickiego kleru wobec ludności od wieków sprzedawanej przezeń możnym tego świata, wyzyskiwaczom rodzimym i obcym, których ambasadorami na tych terenach są rzymskokatolicki biskupi.

I w efekcie tych ekskomunik, spontanicznie rozwija się na Haiti i Boliwii dążenie do stworzenia narodowych Kościołów katolickich, które uniezależniwszy się od Rzymu — staną się Kościołami Chrystusowymi jednoczącymi wszystkich dla dobra wszystkich.

Temu dążeniu na pewno Chrystus będzie błogosławił!

A. DZIANOT

HAITI¹⁾

Wyspa w grupie Wielkich Antyli w części zachodniej na Morzu Karaibskim, obejmuje 77.200 km kw.

W części wschodniej republika Dominika. Wyspa odkryta w 1492 r. przez Kolumba. Do 1697 r. należała do Hiszpanii, następnie do Francji. W 1804 r. ogłosiła niepodległość.

BOLIWIA²⁾

Republika w Ameryce Południowej zamieszkała przez 8.162.000 Indian i Metysów, przynależnych tradycyjnie do Kościoła rzymskokatolickiego. Kraj o dużych bogactwach naturalnych. Cynk, ołów, antymon, wolfram, srebro, rolnictwo — hodowla owiec, lam i bydła, trzcina cukrowa. Boliwia znajduje się pod dużymi wpływami kapitału Stanów Zjednoczonych, przed którymi broni się, zdając sobie sprawę z eksploatacyjnego charakteru tej „współpracy“.



Kościół to społeczność żywych ludzi złączonych wiarą w Jezusa Chrystusa i we wszystko co On ludzkości objawił.

Kościół tworzą biskupi i kapłani, tworzą go wierni, którzy są żywymi cząstkami Chrystusowego organizmu — Kościoła.

W roku 1960 gromadził się lud wierny na wsiach i w miastach, aby wielbić Boga w swym ojczystym języku.

Zdjęcia przedstawiają chwilę oczekiwania na przyjazd Arcypasterza w Poznaniu i w Gdyni. Ks. Biskup J. Pękala głoszący Słowo Boże i procesja.

„Jarzmo” odtwarza realistycznie życie społeczne, obyczajowe i kulturalne, życie małego miasteczka w Poznaniu w okresie międzywojennym.

Autor ze znajomością głęboką spraw psychiki i konfliktów człowieka wierzącego ukazuje żywych ludzi w ich wzlotach i upadkach.

Ideał kapłański, wygodne życie proboszcza, celibat a szara rzeczywistość, śluby czystości w klasztorze, a tęsknota za życiem rodzinnym — to treść tej opowieści opartej na faktach i realnej prawdzie.

Starczyński, ciesząc się szacunkiem w małym mieście utrzymuje kontakt towarzyski z inteligencją, w tym i z miejscowym proboszczem. Na jednej z proznych kolacji na plebanii, ksiądz proboszcz dzieli się z zebranymi przyjaciółmi refleksjami po czterdziestu latach kapłaństwa. Mówi o wielkiej rozpiętości między młodzieńczym ideałem kapłaństwa a codzienną rzeczywistością. Mówi o stosunkach między duchownymi i hierarchią kościelną, które często są zaprzeczeniem Chrystusowego ideału kapłaństwa. Należy zreformować wychowanie kapłaństwa. Duchowny ma być nie tylko kapłanem, ale i pełnym człowiekiem związanym z życiem swego narodu, z rodziną i ojczyzną. Oto wniosek, jaki można wyciągnąć ze słów starego duszpasterza. Starczyński lubił przejażdżki sankami. W czasie jednego ze spacerów sankami spotkał siostry zakonne, które zbierały ofiary na klasztor. Podczas rozmowy z zakonnicami dopytywał się o siostrę Leontynę, którą znał przed kilku laty jako Wisławę Różańską. Obudziły się w nim wspomnienia. To on winien, że przywdziała habit, że znalazła się w klasztorze. Jego wstąpienie do seminarium zaważyło na jej życiu.

Z walki ze śmiercią Starczyński wyszedł zwycięsko. Na rekonwalescencję został skierowany do sanatorium w Szczawnicy. Jedną z kuracjerek, miłą brunetka, Halina, zaopiekowała się słabym jeszcze profesorem.

Natura nie znosi próżni i serce mężczyzny także. Ale Starczyński przekonuje siebie, że takiej jak jego Sławka nie ma drugiej na świecie.

Piętnastego sierpnia wrócił Szymon Bogusławski z nad morza do Przemysławic. Pojechał w połowie lipca raz jeszcze na kurs przysposobienia wojskowego do Krakowa. Nie zrobił tego z przekonania. Był tam już kilka razy. Nie wiedział jednak co z sobą począć. Ale wyjazdu nie żałował. Od chwili przyjazdu do ostatniego dnia miał śliczną, słoneczną pogodę. Opalił się na brązowo. Wypoczął, powziął też decyzję w sprawie swojego zawodu. To było — zdaniem jego — najważniejsze osiągnięcie. Kosztowało go zresztą dużo pracy. Wśród ćwiczeń wojskowych, w czasie sportu, wycieczek i nocy, często myśl jego wdzierała się w przyszłość. Malował ją w szczegółach. Pokonywała przeszkody. Reformowała życie. Działała. Była sobą. Posiadł szczęście i zadowolenie. Ubogacił się duch Szymona wakacyjnym myśleniem. Teraz nadeszła pora urzeczywistnienia projektu, zamierzeń i postanowień.

Termin składania wniosków o przyjęcie do Seminarium Duchownego wprawdzie już minął, ale Szymon ufał, że jego wniosek zostanie jeszcze uwzględniony. Napisał go, załączając potrzebne dokumenty i posłał listem poleconym do rektora Seminarium Duchownego. Tego samego dnia napisał też listy do Starczyńskiego, który od kilkunastu dni bawił w Krynicy, oraz do Wisławy Różańskiej, likwidującej już ostatecznie swoje sprawy w Warszawie. Doniósł im o swojej decyzji.

Rodzice Szymona byli zadowoleni z postanowienia swego syna. Ojciec wprawdzie kilkakrotnie zachęcał go do dobrego zastanowienia się, ale sam nie był takim wyborowi przeciwny. Matka natomiast w skrytości serca modliła się i cicho wzdychała, aby jej syn był księdzem. Kiedy Szymon wyjeżdżał nad morze nie tylko ojciec, ale i matka zaczęły wątpić czy ich syn zapisze się do Seminarium. Po co mu kurs wojskowy — mówili rodzice między sobą — jeśliby chciał zostać sługą ołtarza. Tym radośniej przyjęła matka teraz jego decyzję.

Dni wlokły się Szymonowi leniwie. W godzinach rannych i wieczornych niecierpliwie wyczekiwał listonosza. Zresztą chętnie przebywał w ogrodzie i pracował. To pełń, to zrywał dojrzałe owoce, to podlewał kwiaty i warzywa. Ze szczególną zaś pieczołowitością chodził około gołębi. Nie miał dotąd odpowiedzi od rektora Seminarium, ale czuł, że za kilka tygodni z pewnością wyjedzie. Żegnał się więc czule a troskliwie ze swoim stadem gołębi. Wyczyścił dokładnie i starannie ich mieszkanie. Uszczelnił gołębnik, stojący na słupie w środku podwórza. Z czułością przyglądał się młodym gołę-

biątkom, porastającym wolno w pierze. Podziwiał ze zawiścią defilujące w promieniach słońca napuszone pawiki, majestatycznie tańczące około swoich małżonek garlaczce piękności, klasycznie latające brunatne stawaki.

Nierzadko też wypływał łodzią na jezioro. Kapał się. Pływał świetnie i chętnie. Lowił też z przyjemnością ryby.

Ale dziwna rzecz, stronił od towarzystwa. Raczej był zawieszony sam. Wprawdzie i w czasie pobytu w gimnazjum nie często bywał wśród kolegów, jednak mimo wszystko nie był odludkiem, teraz najchętniej przebywał sam. Był jednak wesoły. Śpiewał, gwizdał. W domu opowiadał z zapałem różne historyjki. Snuł głośno, zwłaszcza przed swoją matką, plany na przyszłość, nieraz nawet bardzo odległą. Najmniej rozmawiał i zwierzał się swojej starszej siostrze. Jakoś nie lubił jej i nie mógł się z nią dogadać. Była ciasna. Egoistyczna. Pretensjonalna. On był natomiast prosty, szczery, szeroki. Kandydat na człowieka z gestem.

Kiedy pewnego dnia, pod koniec sierpnia, wrócił z rannej Mszy św. do domu nieco później, zastał list. Wziął do ręki. Chwilę go trzymał bez ruchu, jakby ważył jego treść, potem spokojnie przeciął nożem kopertę, a rozwinąwszy list, przeczytał go szeptem. Został przyjęty do Seminarium pod warunkiem, że lekarz zakładowy uzna go za zdrowego. W tym celu musiał się wybrać zaraz do miasta, w którym znajdowało się Seminarium, aby dać się zbadać u tamtejszego lekarza, a potem stawić się u księdza rektora. Rektor przyjął go serdecznie. Udzielił potrzebnych informacji i znowu go pożegnał. Szymon był zadowolony. Już został studentem teologii, niedługo przywdzieje szaty duchowne i stanie się klerikiem, a potem... a potem po kilku latach będzie księdzem.

Wsiadając na dworcu w Przemysławicach do autobusu, spotkał swego prefekta, księdza Kalinowskiego. Nie lubił go wprawdzie. Jednak szybko podzielił się z nim wiadomością. Ksiądz prefekt robił wrażenie, iż się bardzo cieszy i pogratulował mu. Po czym przeszedł na zupełnie inny temat, tytułując go oficjalnie „panem”. Opowiadał o tym i owym, rzucając jednocześnie okiem po opustoszałych już częściowo połach rozpościerających się po obu stronach szosy, którą jechał autobus. Szymon zauważywszy niedbałą postawę prefekta, w podobny sposób słuchał jego nieciekawego zresztą wakacyjnego wspomnienia.

Bogusławscy siedzieli przy kolacji, kiedy Szymon z rozpromienionym obliczem wszedł do jadalni. Radośnie przyjął wiadomość o uwzględnieniu jego wniosku. Ich syn wszedł już przecież na drabinę, po której szczeblach krocząc poprzez lat pięć, miał w końcu zostać kapłanem. Syn Marcinostwa Bogusławskich z Przemysławic będzie księdzem — z dumą uświadamił sobie. Długo w noc rozmawiali o tym nowym wydarzeniu, o wyposażeniu Szymona, o ksiązkach, które będzie musiał sobie kupić, o jego wyjeździe, o pierwszych gwiazdkowych wakacjach; mówiono o materiale na sutannę, jako też o znalezieniu odpowiedniego krawca, chociaż z tym był czas do gwiazdki.

Szymon, zanim położył się spać, wziął swój biały zwykły kołnierzyk, a odwróciwszy go, założył go sobie na szyję. Stał przed lustrem i z zadowoleniem stwierdził, że kiedy będzie mu już wolno nosić kołnierzyk klerycki będzie wyglądał w nim całkiem dobrze.

Po chwili ukląkł do wieczornej modlitwy. Ale pacierz szybko zmienił się w medytację. Szymon zaczął uświadamiać sobie wagę procesu, który w życiu jego z dzisiejszym dniem począł się rodzić. Widział siebie w szatach duchownych, wyobrażał sobie siedzącego w celi seminarialnej, modlącego się w ukojeniu w kaplicy kleryckiej, to znowu myślał o czekających go jeszcze przygotowaniach przed samym wyjazdem do Seminarium. Wyobraźnia przypominała mu też zwierzenia magistra Starczyńskiego. Żywo stanęła przed nim Wisława. Obudziły go uczucia, które po raz pierwszy go zaintrygowały, kiedy wracał z dworca przemysławickiego do domu, po pożegnaniu swojego profesora odjeżdżającego do Krakowa, a dotyczącego stosunku mężczyzny do kobiety. Podobnie jak kiedyś w rzeczywistości, tak teraz w wyobraźni przesuwały się pary ludzkie: on i ona. Uświadamiać sobie począł, że pozostanie sam, że skazuje siebie na samotność, że pozbawia się możliwości założenia rodziny i posiadania własnych dzieci. Tak, to wiedział. Nie wiedział tylko czy i jakie czekają go z tego powodu walki. Pocięszal się, że skoro tyłu kapłanów żyje w celibacie, to i on chyba też da radę. To wyjaśnienie przyjął, ale nie uspokoiło ono go całkowicie. Gdzieś na dnie jego jaźni budziły się poczynają owe potężne, ludzkie popędy płciowe. Były wprawdzie jeszcze słabe, jak gdyby przykryte marzeniami idealnie na życie patrzącego młodzieńca. Chociaż więc zwróciły na siebie jego uwagę, zdolne były go zaabsorbować tylko na chwilę. Jeszcze nie wabiły. Jeszcze się nie liczyły. Stąd też dały się odsunąć i zepchnąć ogólnikowym argumentem „skoro tyłu kapłanów żyje w celibacie...”

Myśl Szymona, wciąż jeszcze klęczącego, powędrowała dalej. Analizował inne funkcje społeczne, stany, zawody, starając się poznać ich wartość i celowość oraz swój do nich stosunek. Stwierdził, że właściwie mógłby być i lekarzem, i żołnierzem, i prawnikiem, może nawet politykiem. Ale w kapłaństwie katolickim widział zupełnie inne dla siebie możliwości — po-

prostu czuł, że jest do niego przeznaczony. Upewnił się raz jeszcze w swoim postanowieniu. To go uspokoiło i skłoniło do dokończenia modlitwy:

„Boże! — za przyjęcie mnie do Seminarium Duchownego dziękuję! Chcę być dobrym kapłanem! — Wspieraj me siły! Spraw, abym sam coraz bardziej upodabniając się do Ciebie, innych prowadził również do Ciebie, źródła i zachowawcy wszelkiego bytu. Amen”.

Po kilku godzinach twardego snu przebudził się. Słońce zsyłało pierwsze promienie. W pokoju unosiła się woń róż, napływająca otwartym oknem. Szymon był zmęczony i jakoś dziwnie wylężniony. Zrazu sam nie mógł zdać sobie sprawy z tego stanu. Przeciągnął się kilka razy. Ziewnął przeciągle, a przewróciwszy się na drugi bok, chciał spać dalej. W tej samej jednak chwili oprzytomniał, a pamięć przywołać mu zaczęła obrazy dopiero co przeżytych marzeń sennych.

Przyśniła mu się treść wszystkich jego poczyną i dokonana okresu, dzielącego go od wyjazdu do Seminarium i samo wejście w jego główną bramę. Śnił dokładnie o swojej wizycie u księdza proboszcza Wiśniewskiego, ucieśzonego szczerze z jego przyjęcia do Seminarium, nie szczędzącego jednak mu szeregu przestróg, śnił o zobaczeniu się z Wisławą i magistrem Starczyńskim; o zakupieniu różnych drobiazgów, książek, bielizny. Śnił o swoim wyjeździe. Wydawało mu się, że walizy stały gotowe. On nałożył płaszcz i przystąpił do matki: „Niech mama zostanie z Bogiem” i chociaż chciał jeszcze podziękować swej rodzicielce za wszelkie dotychczasowe jej trudy, schylił się tylko do jej spracowanych dłoni i począł je całować szlochając. „Niech cię Bóg prowadzi, mój synu” — rzekła wśród łez matka. Na uboczu stał ojciec. I jemu napływały łzy do oczu, kiedy z kolei Szymon przystąpił do niego. Autobus nadjechał. Załadowano walizy. Raz jeszcze, już na ulicy, pożegnał Szymon swoich rodziców. Kiedy autobus ruszył, Szymon zadumał się i zdawało się jemu, że robi krzywdę rodzicom, opuszczając ich. Zdawało się jemu po raz pierwszy w życiu, że źle postąpił. Jechał zadumany. Posepny. Na dworcu wsiadł do wagonu i po chwili znowu jechał. Wydawało mu się, że jedzie już kilka dni. Nie mógł doczekać się końca podróży. Wreszcie był na miejscu. Dorożkarz przystanął, złożył kufry i odjechał. Szymon wziąwszy walizy chciał wejść do gmachu. Wstąpił na pierwszy stopień, potem na drugi i nagle w otwartej bramie stanęła — kobieta. Piękna, klasycznie zbudowana, o rozpuszczonych ciemnych włosach i tęsknym spojrzeniu. Szymon chciał ją minąć, ale ona rozłożyła ręce i zatrzymała go, a potem wskazała ręką miasto. Szymon chciał zapytać co to znaczy, czego od niego chce, ale kiedy chciał otworzyć usta — obudził się.

I października, zgodnie z pismem księdza rektora, Szymon Bogusławski przyjechał do Seminarium i wykladał zawartość swoich waliz do szafy w przydzielonym dlań pokoiku. Został już w swoim mieszkaniu dwóch innych kolegów. Niedużo z nimi rozmawiał, bo niebawem zszedł do kaplicy. Tu kłęcząc porównywał przeżycia dnia dzisiejszego i ostatnich tygodni z treścią dziwnego snu. Wszystko się zgadzało. Nie było tylko zjawy — kobiety u bram Seminarium. Obraz jej jednak tkwił w pamięci Szymona i podobnie jak sen, był przez długi czas jego wyłączną własnością.

*

Władze szkolne uwzględniły prośbę magistra Starczyńskiego wysłaną w początkach sierpnia z Krynicy i przeniosły go z Przemysławic do jednego z gimnazjum miasta Poznania. Wiadomość tę przyjął Starczyński z zadowoleniem. Nakreślony w czasie wakacji plan na przyszłość otrzymał w ten sposób konkretne możliwości realizacyjne. Przemysławice podobały mu się. Z młodzieżą żył się dobrze. Ale nie wyobrażał sobie życia w tym mieście na dalszą metę, a przede wszystkim szerszej pracy publicystycznej i naukowej. Starczyński chciał pracować literacko, pragnął też pogłębić swoją wiedzę w zakresie filologii klasycznej. Na to trzeba mu było dostępu do bibliotek, bliższego kontaktu z uniwersytetem i ośrodkami twórczości literackiej. To wszystko dawał mu Poznań. Otrzymałszy więc tę wiadomość postanowił co prędzej wyjechać z Krynicy. Czuł się już zupełnie dobrze. Wypoczął fizycznie i duchowo. Dramatyczna przygoda schodziła powoli w zapomnienie. Ubocznie stała się ona zresztą okazją zwiedzenia pięknych Pienin i poznania Szczawnicy i Krynicy. W przedostatnią niedzielę sierpnia wyjechał Starczyński do Warszawy.

Wisława, uwiadomiona telegramem, czekała na dworcu. Przyszła pół godziny wcześniej. Krótki ten czas wydawał się jej długi bez końca. Bodaj stałe spoglądała na zegar. Wskazówki posuwały się miarowo naprzód, czas nie chciał jednak płynąć w rytm rozgorączkowanego pulsu Wisławy. Przeróżne myśli chodziły po jej głowie. Najbardziej wszelako przykra była myśl kojarząca tę podróż Starczyńskiego z ową tragiczną Poznań-Kraków.

Niemniej długa wydawała się podróż Hieronimowi, chociaż mniej się tym denerwował od Wisławy, przecież wracał z kuracji, miał nerwy uspokojone. Wisława przeciwnie — czuła się dość mocno wyczerpana pracą ostatnich tygodni i przeżyciami spowodowanymi wypadkiem narzeczonego. Toteż nie tylko z przejęcia, ale i z nerwowego przemęczenia cała drżała, kiedy obok niej stanął ukochany.

Nie było jednak czasu na długie czułości. Trzeba było działać. Odebrać bagaż i wydostać się z ciżby i zaduchu dworcowego królestwa.

Warszawa nie zrobiła dobrego wrażenia na Starczyńskim. W Alejach Jerozolimskich unosiły się chmury kurzawy. Panował ogromny zgiełk. Ludzie byli jacyś zagonieni. Wszystkim było spieszo. Każdy człowiek zdawał się kogoś gonić. To samo zauważył na innych ulicach, którymi wiozła ich dorożka. Nie był zadowolony z hotelu, w którym stanął. Chciał wprawdzie zamieszkać razem z Wisławą, ale ona sprzeciwiła się. Złożywszy w hotelu przy Marszałkowskiej walizy, poszli obydwoje najbliższymi ulicami do jej mieszkania, przy Alei Róż.

Po swoim przyjeździe do Warszawy tak szybko, jak to było możliwe, wyprowadziła się z mieszkania służbowego firmy Warszawskiej. Jemu zresztą całkowicie przebaczyła, widząc, że szalona miłość go zaślepiała, ale wypadek Starczyńskiego, którego on był pośrednim sprawcą, stał się przedmiotem dociekań sądu. Jedynie dzięki zeznaniom Wisławy, wspaniałomyślniej postawie Starczyńskiego, sąd uniewinnił całkowicie Warszawskiego. Ale oczywiście Wisława usunęła się z oczu Warszawskiemu. Zrazu nie chciała na ten krótki czas szukać sobie nowej posady, po kilku wszakże dniach zmieniła zamiar i przyjęła pracę kasjerki w sklepie materiałów damskich, przy Krakowskim Przedmieściu. Przyjmując pracę zastrzegła sobie tygodniowe wypowiedzenie.

Po schodach weszli na pierwsze piętro i już byli w panińskim pokoiku Wisławy Różańskiej. Ona weszła pierwsza, potem on; skoro zamknął drzwi ona zawisła mu na jego szyi, całowała go mocno. On ją tulił do siebie. Nic nie mówili. Trwali tylko w mocnym uścisku, nie szczędząc sobie pieśczęt. Wisława była rozanielona. W nim rosła radość, upojenie, ale odezwała się też i krew. Ujął mocniej Wisławę, obnosił po pokoju, jak królowę, a potem złożył ją na tapczanie, przykląkł przy niej i począł odpinać sukienkę, przymilając się coraz bardziej. W pewnym jednak momencie Wisława, na skutek jakiegoś niespodziewanego dotyku Hieronima, lekko ale stanowczo podniosła się a ręką swoją odsunęła jego rękę, podobnie jak to zrobiła siostra zakonna, jadąca z nim do Skotnik. Hieronim nie wiedział, co ma powiedzieć. Ośmielony czułym zbliżeniem i pieśczętami Wisławy, zapomniał o zakazach etycznych a stał się tylko mężczyzną idącym za siłami swojego popędu, popędu wyzwolonego świadomie czy nieświadomie przez Wisławę. Toteż dość długo nie mógł się uspokoić. Rozpalony żywił nie łatwo gasł. Tym bardziej, że takiego stanu rozpalenie jeszcze nie doznał. Ona czuła swą winę. Wstała. Okrążyła kilka razy pokój, przystając za każdym razem przy oknie. On leżał na tapczanie. Znowu nic nie mówili. Po chwili ona przykląkla przy tapczanie i chciała go pocałować. On jednak odwrócił głowę. Wtedy Wisława słodko, bardzo słodko i przymilnie szepnęła mu do ucha: — Ja też pragnę ciebie! Już nie długo. Teraz jeszcze nie. Jak będę twoją żoną!

Hieronim przypomniał sobie pannę Górzankę. Jak inna była Wisława. Tamta narzucająca się, ta przymilna, ale trzymająca się pewnych granic. Tamta zalotna i lasząca się jak kotka, ta pragnąca go, ale w określonych warunkach. Dziwne są kobiety — pomyślał. Niby towarzyskie, solidarne, spokojne. Ale ich towarzyskość, solidarność i spokój trwają długo, dopóki w grę nie wchodzi mężczyzna. „On” — potrafi się dla nich stać elementem intryg, nienawiści, walki. Dla „niego” jedna kobieta w stosunku do drugiej gotowa popelnąć rzecz najbardziej okrutną. Gdy idzie o zdobycie męża kobiety przestają być solidarne.

(Cdn)





DLA KAŻDEGO COŚ...

E. MONTWIEL

Wprawdzie nie wiemy jak — powstało całe złożone życie, kolory i barwy tęczy, celowość i prawa wszechświata.

Proces ten nie łatwy jest do wyjaśnienia, raczej niemożliwy.

Przy całym naszym entuzjazmie dla rozumu ludzkiego, musimy stwierdzić ze smutkiem, że możliwości poznawcze człowieka są ograniczone. Są pewne prawdy i sprawy, których nie znamy i znać nie będziemy. Zostaje nam tylko wiara. Bóg i odwieczna tęsknota człowieka za Prawdą, Dobrem i Pięknością — Bogiem — religia.

Światopogląd religijny i wiara nie jest rezygnacją z praw rozumu i rozumowego poznania, jak twierdzą niektórzy. Wiara i wiedza dotyczą zgoła różnych wymiarów ludzkiej psychiki.

Wiedza polega na doświadczeniu, na uznaniu czegoś za prawdę na podstawie konkretnych dowodów, które podpadają pod zmysły.

Jest najczęściej twórczą hipotezą, która po czasie albo okazuje się prawdą, albo pomyłką.

Ostatnie odkrycia naukowe i zdobyte wiedzy nie napawają człowieka wielkim optymizmem.

Jak długo człowiek żył tylko na ziemi i uważał ją za centrum wszech-

świata, a wszystkie inne planety jako niedostępne były dlań niemal abstrakcją, tak długo mógł mierzyć wzmoczone samopoczucie jako król stworzeń.

Dzisiaj, gdy wiedza pomogła nam zrozumieć, że ziemia jest małym punktem w bezkresnym kosmosie, muszą również ulec rewizji poglądy na rolę człowieka i jego znaczenie.

Czymże jest człowiek w tym wielkim bezmiarze wszechświata i rządzących nim praw? Czyż w obliczu kosmosu nie jesteśmy o wiele mniejsi niż wobec nas mała mrówka, którą nieuważnie depczemy?

Jeżeli człowiek ma znaleźć siebie i sens swojej egzystencji, to tylko w innych wymiarach, jako istota nieśmiertelna.

Konflikt między wiarą, a wiedzą nie leży w samej naturze wiary i wiedzy, lecz w warunkach w jakich się one spotykają i rozwijają i w samym człowieku. Zważywszy, że wiedza i wiara są uznaniem czegoś za prawdę przez człowieka, który z natury swojej jest omylny, zachodzi możliwość błędzenia w obu wypadkach.

Są jednak prawdy wiary i prawdy wiedzy niewzruszone, na których wspiera się całe nasze ludzkie poznanie otaczającego świata i jego praw. Dlatego wiara nie jest rezygnacją z wiedzy ani z rozumowego poznania.

Gdy patrzmy spokojnie, bez uprzedzeń na dzieje cywilizowanej ludzkości, musimy stwierdzić, że właśnie religia i wiara były natchnieniem tego, co w kulturze jest wielkie i piękne.

Religia i wiara były siłą motoryczną szarych ludzi, którzy szli z imieniem Boga na ustach by umierać za swoje przekonania, aby walczyć o zwycięstwo idealów, chociażby o miał kto inny dyskutować. Od chwili kiedy człowiek zaczął posługiwać się rylcem, młotem, pędzlem czy piórem, od chwili kiedy zostawił po sobie nieśmiertelne ślady swojej twórczości, odtąd widzimy, że nie wiedza ani szkoła, ale Bóg i tęsknota za Nim były mu natchnieniem i źródłem jego twórczych sił.

Wiara żywa, płomienna rozpalala wyobraźnię nie tylko uczestników wypraw krzyżowych, lecz i Michała Anioła, Leonarda de Vinci, Petrarke i Pascala, Szekspira, Mickiewicza i Słowackiego.

Jak człowiek długo chodził po ziemi i w górę oczy podnosi, mimo że jest ssakiem, nie uda mu się stworzyć tu nieba, choćby stały dymiące masy świętego mięsa dla wszystkich, pełne kruże palącego napoju, wokół krążyły półnagie girlsy i co wieczór wyświetlano mu kolorowe filmy.

Naje się i napije do syta, zaspokoi pożądanie, a potem znów będzie płakał i tęsknił, bo jest człowiekiem i cząstką nieśmiertelności ma w sobie.

Jeżeli jednak mamy wyznawać religię, która ma zaspokoić nasz umysł i serce to nie jest sprawą obojętną, jaka to jest religia. Ale o tym w następnym numerze.

W poprzedniej rozmowie mówiliśmy o konieczności religii. I to nie dlatego, aby naszą wiarą czy religijnością zrobić komuś przyjemność. Nie dlatego, aby naszym światopoglądem czy religijnością był ktoś zainteresowany. Religia jest potrzebna nam osobiście, aby nie tylko nie zgubić się w życiu, lecz znaleźć odpowiedź na dreczące nas pytania.

Zachwycamy się osiągnięciami wiedzy i słusznie. Ale wiedza nie wyjaśni nam ani sensu życia, ani skąd jesteśmy i dokąd idziemy. Wiedza w pewnym stopniu zmusza nas do wiary.

Musimy przyjąć i uznać za prawdę, że najpierw była martwa, bezduszna i bezwonna materia. Ze z tej materii

PALIĆ CZY NIE PALIĆ?

Jakimż to niezmiernym wprost błogosławieństwem dla ludzkości jest wiedza medyczna. Dzięki olbrzymiemu swemu rozwojowi, w ostatnich czasach zwłaszcza, dokonuje ona istnych cudów. Świetne wyniki zachęcają lekarzy do dalszych badań i studiów. Z drugiej znowu strony nasuwa się pytanie, czy warto dokonywać skomplikowanych zabiegów i podejmować się ciężkich i odpowiedzialnych operacji, gdy większość ludzi z karygodną wprost lekkomyślnością sama szkodzi swojemu zdrowiu. Chodzi tu o nałóg palenia.

Zastraszający wzrost raka płuc, choroby kończącej się przeważnie śmiercią, zaalarmował odpowiednio czynnikami. Toteż w radiu i prasie ukazały się audycje i artykuły, uświadamiające społeczeństwo, względnie starające się ośmieszyć ten brzydki nałóg. Poniżej cytujemy wyjątki artykułu, napisanego przez lekarza ubezpieczalni społecznej:

„W celu ustalenia związku przyczynowego zachodzącego między używaniem nikotyny a wzrastającą śmiertelnością poddano w USA badaniom przeszło 200 tysięcy osób z następującym wynikiem. Otóż stwierdzono, że cyfra śmiertelności jest znacznie wyższa (bez względu na wiek) u osób palących niż u niepalących, a mianowicie o 68%. U osób palących papierosy i cygara wzgl. fajki

o 22%, natomiast u osób palących tylko fajkę o 12%. Tylko przygodne palenie zostało bez żadnego wpływu na śmiertelność. U palaczy, którzy przestali palić, zaczęła się już po roku śmiertelność wybitnie zmniejszać. Niezmiernie interesujące są też dane statystyczne odnoszące się do ilości wypalonych papierosów. Otóż okazuje się, że u ludzi palących dziennie 10 sztuk śmiertelność jest wyższa niż osób niepalących o 34%, 20-40 sztuk natomiast już o 96%, a przy ilości 40 sztuk i więcej dziennie — już nawet o 123%. Niemniej interesujące są też wyniki badań podjętych w celu ustalenia jakich to chorób powstawaniu i rozwojowi szczególnie sprzyja palenie papierosów. Otóż okazuje się, że pierwsze miejsce zajmuje tu rak płuc, krtani i przelyku oraz owrzodzenie żołądka i zapalenie płuc. Poza tym stwierdzono również ścisły związek przyczynowy zachodzący między paleniem papierosów i powstawaniem chorób naczyń wieńcowych serca, które specjalnie w naszych czasach są częstokroć powodem śmierci. Jak niebezpieczną trucizną jest alkaloid tytoniowy, wiadać ze strasznych skutków, jakie powoduje on już nawet po rozcieńczeniu (1.4000.000) podczas eksperymentów ze zwierzętami. I tak np. przecik szklany zwilżony nikotyną uśmierca momentalnie małe ptaszki: gołab,

któremu zwilżył się dziób jedną kropelką nikotyny i puścił w powietrze, spadnie już po kilku minutach martwy na ziemię. Spożycie cygara, jak to bywa przy lekkomyślnym zakładaniu się, powoduje śmierć natychmiastową. Charakterystyczne, że pijawki, przystawione do ciała osób palących nadmiernie, po chwili odpadają i zdychają, wijąc się w boleściach. Poza tymi bezpośrednimi szkodliwymi następstwami dla najrozmaitszych organizmów i funkcji organizmu istot żyjących wywołuje nikotyna istne spustoszenia w zasobach witaminy C, tak niezbędnej dla naszego życia.

Niezmiernie interesujące eksperymenty z zębami poczynił Instytut Patologiczny Akademii Medycznej w Łodzi. Zwierzęta te poddano mianowicie działaniu dymu nikotynowego. Po 2-tych tygodniach stwierdzono u wielu ich organach wewnętrznych jak serce, nerki, wątroba, śledziona i mózg poważny ubytek zapasu witaminy C, przy czym charakterystyczne jest to, że deficytu tego nie udało się już wyrównać nawet przedawką tej witaminy.

Badania podjęte w celu stwierdzenia wpływu palenia na zawartość witaminy C w mleku matek karmiących wykazały, że zawartość jej w mleku matek palących jest znacznie mniejsza niż niepalących. Ponieważ zaś zarówno dla dojrzewającego płodu w łonie matki, jak i dla niemowlęcia witamina ta posiada niesłychanie doniosłe znaczenie, uważać przeto należy palenie za niezmiernie szkodliwe i to zarówno dla kobiet brzemiennych jak karmiących. I tu znowu to samo niezwykle spostrzeżenie, że nawet używanie tabletek z witaminą C nie zdola już zniwelować szkód wyrządzonych przez palenie. Poza tym stwierdzono, że palenie powo-

duje poronienia, przy czym wysokość ich jest ściśle zależna od ilości wypalonych papierosów dziennie przez kobiety. I tak na przykład przy 10 sztukach papierosów dziennie liczba poronień wynosiła 11 — 18%, przy liczbie zaś większej niż 31 sztuk, nawet 33 1/2% ogólnej liczby poronień.

Ponieważ konsumpcja papierosów z roku na rok wzrasta, wynosząc już miliardy sztuk, więc wszędzie zaczyna się energiczna akcja uświadamiająca. Pocięszający jest przy tym fakt, że u osób, które poszły za głosem rozsądku zaprzestały palenia, już po roku stwierdzono zmniejszenie się śmiertelności.

Dr. A. R.



W dniach 21—25 września roku ubiegłego zebrał się w uniwersyteckim mieście angielskim Oxfordzie, teolodzy anglikańscy i starokatolicy, referując i dyskutując nad kwestią wspólnoty komunijnej anglikańskiego i starokatolickiego Kościoła. Starokatolickie biskupstwa Holandii, Niemiec i Szwajcarii wysłały po kilku delegatów na tę konferencję. 22 i 23 września były dniami roboczymi. Po mszy odprawionej w kaplicy Exter College przez biskupa z Deventer, mgr. Jansa, rozpoczęto pracę wstępnym referatem ks. Gauthier z Genewy n. t. „Granice Kościoła“ (ze stanowiska starokatolickiego). W poszukiwaniu właściwej oceny wielkości Kościoła, ks. Gauthier zajął się pytaniem, czy wszyscy ludzie osiągną zbawienie wieczne, czy też nie. Stwierdził przy tym, że co do tzw. apokatastasis (przywrócenia wszystkich rzeczy do pierwotnego stanu w sensie powszechnego zbawienia) nie ma w starożytnym, niepodzielnym Kościele wiążących postanowień. Nie jest bowiem rzeczą pewną, czy 5 Sobór Powszechny potępił naukę o apokatastasis. Problem ten winien być na nowo podjęty ze stanowiska Nowego Przymierza i objawionej w nim łaski Bożej. Referent postawił ciekawe pytanie, czy wiara katolicka, pomimo swego tradycyjnego przypuszczenia o „wiecznym piekle“, nie ogłosi któregoś dnia nowej nauki o warunkowej wieczności kary. Co do przynależności do Kościoła Nowy Testament i Kościół starożytny jednomyślnie nauczają, że przyjęcie chrztu św. jest koniecznością. Co się zaś tyczy nieochrzczonych, musimy się korzyć przed tajemnicą decyzji Bożej. To samo dotyczy „oddzielonych braci“. Starokatolickie pojmowanie interkomunii polega na obopólnym uznawaniu katolicyzacji, przy czym należy bliżej sprecyzować pojęcie katolicyzacji. Kościół (pg Michaud) posiada tylko „względna i warunkowa nieomyślność“. Nieomyślność nie odnosi się do Kościoła jako takiego, lecz

do jego wypowiedzi w sprawie wiary i ich odpowiedzialnych nosicieli. Nie może być ona rozumiana w sensie absolutnym, ponieważ wiara nie może się stać prawem (Pascal). Ściśle biorąc tylko Duch Święty w Kościele jest nieomylny. W drugim referacie n. t. „Kto jest członkiem Kościoła“ ks. Taylor wywodził, że Kościół sam nigdy nie określił znaczenia wyrazu „Kościół“, a tym samym nie oznaczył granic członkostwa. Chrześcijańskie wyznanie wiary poczynając od V stulecia żądało wiary w jeden, katolicki i apostołski Kościół, nie dając dokładnej definicji.

Anglikańskie stanowisko wobec papieżstwa przedstawił ks. dr Mascall, wyrażając pogląd, że można by dyskutować nad przyjęciem rzymskiego prymatu, gdyby tego żądano w tej formie, jaką miał on w III wieku. Zachodzi wątpliwość, czy Kościół rzymski zadowoliliby się prymatem w tych skromnych ramach, jakie wtedy posiadał. Referat Canona Krempa poruszył zagadnienie stosunków między biskupami Kościołami, mającymi wspólnotę. Wyraził dwójaką przestrożę: 1. Ludzkie analogie w stosunku do Kościoła mogą w błąd wprowadzić. Nie wolno wprowadzać fałszywych wniosków z charakteru Kościoła jako ludzkiej, widzialnej społeczności. Argumentacja, że Kościół dla tego swego charakteru musi mieć widomą głowę, jest błędna. 2. Pod tym względem (t. zn. kształtowania Kościoła) nie oczekujemy wiele od historii Kościoła, ani nie narzucamy jej z góry powziętego schematu. Każdy biskup w swojej diecezji nie traci wszystkiego ze swojej uniwersalnej jurysdykcji, lecz zostaje członkiem całego episkopatu.

Biskup z Deventer, mgr. Jans mówił następnego dnia o Światowej Radzie Kościołów, jej stanowisku, zadaniu i granicach w odniesieniu do członkowskich Kościołów.

Na zakończenie konferencji członkowie-delegaci, jako goście honorowi, wzięli udział w święceniach kapłańskich w katedrze sta-

rokatolickiego kościoła (Christ Church Cathedral).

Kościół Anglikański wobec Ekumenii

O stanowisku Kościoła Anglikańskiego w Ekumenii mówił biskup Neill z Londynu, który przez dwa dziesiątki lat był misjonarzem w Indiach i odegrał ważną rolę w tworzeniu się Unii Kościelnej w południowych Indiach w roku 1947. Biskup podkreślił ekumeniczne nastawienie anglikanów od czasów Reformacji i ich gotowość wcielenia się do większej jedności. Nie należy jednak pozbywać się wartości Kościoła Anglikańskiego, do których biskup zaliczył sukcesję apostołską gwarantującą ciągłość w życiu Kościoła od czasów apostołskich po dzień dzisiejszy, i ustrój biskupi. Sukcesja apostołska jest podstawą już istniejącej interkomunii pomiędzy anglikanami a starokatolikami i Kościołem indyjskim św. Tomasza.

Mniejszość chrześcijańska w Chinach

Według relacji b. chińskiej misjonarki, Gerdy Buege, w Chińskiej Republice Ludowej istnieje mała, ale żywa mniejszość chrześcijańska. Podczas gdy w innych miastach kościoły i chrześcijanie są bardzo rzadcy, w Szanghaju życie kościelne jest dość bujne chociaż liczba kościołów z 200 spadła do 20. Wszyscy pastory tego miasta zbierają się co pewien czas dla omówienia swoich spraw, przy czym różnice wyznaniowe nie odgrywają w ogóle żadnej roli. W kościele metodystycznym odprawia się co niedzielę trzy nabożeństwa z udziałem ok. 300 słuchaczy w każdym. W Pekingu dziś jeszcze istnieje cztery kościoły — w roku 1957 było ich 65. Księża na ogół pracują w określone dni tygodnia lub przez cały tydzień w fabrykach. Niemniej jednak niektórzy chrześcijanie zajmują kierownicze stanowiska, np. naczelną lekarką, nauczyciela szkoły średniej.

SPRAWY DNIA dzisiejszego

Kampania wyborcza do Sejmu PRL i rad narodowych jest ważnym wydarzeniem w życiu społeczeństwa i państwa. Dla partii i władzy ludowej stanowi ona również egzamin polityczny, którego istotą jest zwrócenie się do mas o ocenę dotychczasowej działalności i programu na przyszłość.

Złączne wybory do Sejmu i rad narodowych dają społeczeństwu szczerą sposobność jednoczesnej oceny spraw ogólnonarodowych oraz dobroku i programu terenowego, lokalnego.

Ta szczególna wielostronność problematyki obecnej kampanii wyborczej zostanie poważnie wzbogacona i pogłębiona z tej przyczyny, że znaleźliśmy się na przelomie dwóch planów pięcioletnich; rozpoczyna się dyskusja sejmowa, w której wyniku uchwalony będzie plan na lata 1961—65. Rady narodowe wchodzi w ostatnią fazę opracowywania 5-letnich planów wojewódzkich, powiatowych i miejskich.

Ogólnonarodowe i terenowe plany staną się podstawą programu wybor-

czego, który Front Jedności Narodu i jego Komitety przedstawia społeczeństwu.

Polityka gospodarcza partii i rządu, zmierzająca do szybkiego rozwoju przemysłu oraz rolnictwa i poprawy materialnego położenia ludzi pracy, zrealizowała zasadą stałego doskonalenia metod kierowania ekonomiką, wszechstronnego rozwijania samorządu społecznego i inicjatywy w zakładach pracy, na wsł. w gospodarce terenowej zasadę mobilizowania mas przez szczerą ujawnianie wszystkich trudności i konkretne określanie zasad wiodących do ich przezwyciężenia.

Z tym kapitałem wchodzi w kampanię wyborczą stronnictwa polityczne zrzeszone w FJN.

*

Dalecy jesteśmy od szerzenia zasady bezkarności za wykroczenia i przestępstwa. Przeciwnie, stoimy na stanowisku, że państwo jest wspólnym dobrem nas wszystkich i każdy obywatel ma o b o w i ą z e k stać na straży mienia państwowego i społecznego. Nasze stanowisko wynika przede wszystkim z Dekalogu, który stanowi integralną część etyki katolickiej. Krótko mówiąc „NIE KRADNIJ“ — jest bezkompromisowym moralnym nakazem dla nas. I nie tylko dla nas — katolików, ale dla każdego obywatela Polski, dla każdego człowieka.

Chwalebna i godna naśladowania jest dbałość o mienie społeczne. W ramach tego obowiązku — jak wia-

domo — kierownicy przedsiębiorstw uspołecznionych mają obowiązek zawiadamiania odpowiedzialnych organów o nadużyciach dokonanych na terenie podległych im przedsiębiorstw.

W praktyce, jak czytamy w jednym z warszawskich dzienników, meldują tylko o drobnych kradzieżach; w przypadku większego przestępstwa czy nadużycia milicja dyskretnie czekając, aż przestępstwo ujawni kontrola zewnętrzna.

Można tę praktykę zrozumieć, lecz trudno się z nią pogodzić. „Mała kradzież — czytamy dalej w dzienniku — może zdarzyć się wszędzie — poważne nadużycie świadczy o złych stosunkach panujących w danym zakładzie pracy“.

Ale zdarza się również nadgorliwość w tępieniu „nadużyć“. Statystyki wykazują dość poważny procent spraw, które są umarzane przez urzędy prokuratorskie wobec braku cech przestępstwa. Fakt ten zanepokoił warszawską milicję. Zbadano 77 umorzonych spraw. Okazało się, że 60 z nich wszczęto najzupełniej niepotrzebnie, aby po wielu czynnościach umorzyć, gdyż nie było żadnych absolutnie cech przestępstwa.

Przy okazji tych 60 spraw przesłuchano 225 świadków, przeprowadzono 9 rewizji, wykonano 203 inne czynności procesowe. A oto kilka spraw, które wybrano na chybił trafił:

Aeroklub warszawski w dn. 13 sierpnia ub r. zwolnił jednego pracownika, 16 sierpnia wysłano do mi-

licji zawiadomienie, że nie wylczył się z delegacji służbowej. Milicja przeprowadziła dochodzenia. Wreszcie w urzędzie przesłuchano podejrzanego. Okazało się, że zwolniony pracownik rzeczywiście nie rozliczył się z pieniędzy. Ale Aeroklub wysłał do niego pismo żądając zwrotu pieniędzy w terminie do 1 września. Pracownik żądanie spełnił, na dowód czego przedstawił kwit kasowy.

Podobnie postąpiła spółdzielnia „FILMIA“. Tu pracownik rzekomo nie wylczył się z filmów. Dopiero po przesłuchaniu 13 świadków okazało się, że ma on pokwitowanie, bo filmy dawno już zwrócił. Przy tej okazji stwierdzono bałagan w dokumentacji magazynu.

Przykłady takie można mnożyć. Nie w tym rzecz, że jedna sprawa podobna do drugiej, jedna bardziej od drugiej niedorzeczna.

Chwalebna to rzecz — dbałość o powierzone mienie społeczne. Chwalebna też jest i ostrożność. Ale nie tak pojmowana.

Ostrożność to nie podejrzliwość, to nie węszenie w każdym człowieku — złodzieja. Ostrożność to nie asekurancjo ani opłukiwanie ludzi.

Nie mamy zamiaru tępić czujności społecznej na odcinku ochrony mienia społecznego. Ale czujność nie ma być wspólnego z podejrzliwością i lekkomyślnymi oskarżeniami. Meldować należy władzom o przestępstwach rzeczywistych, a nie urojonych. Nie trzeba „produkować“ złodziei.



**Udział Polaków
w odkryciach geograficznych**

AFRYKA

Badania Madagaskaru — M. Beniowski 1770
 Badania Abisynii i grodów Nilu — J. Kowalski 1817—48
 Podróże po Abisynii, dotarcie do źródeł Nilu Białego i Błękitnego — J. Zagiell 1863—64
 Podróże naukowe po południowej Afryce (Kraj Przylądkowy, Orania, Transwal, Natal, Basuto) — A. Rehman 1875 i 1879
 Wyprawa naukowa do Kamerunu, następnie na Fernando Po i do Literii — S. Szola-Rogozłński 1882—83 i 1890—91
 Badania naukowe Afryki Środkowej — J. Czekański 1907—08

AZJA

Wyprawa do Karakoram (Mongoliz), — Benedykt Polonus 1245—47
 Podróże po Azji (Kaukazie, stepach mongolskich i Chinach) — J. Potocki 1805
 Podróże po Arabii, Syrii i Mezopotamii — W. Rzewuski 1807
 Podróże po Syberii — T. Kobylecki 1831—34
 Badania jez. Bajkał, Gór Nerczyńskich oraz dorzecza Amuru i Ussuri — B. Dybowski 1868
 Badania Kamezatki — B. Dybowski 1868
 Badania Turkiestanu, Pamiru — B. Grabczewski i K. Bohdanowicz 1876—89
 Badanie Azji — B. Piłsudski, F. A. Ossendowski koniec XIX w.

AMERYKA

Odkrycie Labradoru — Jan z Kolna 1476
 Prace badawcze i naukowe w Chile — J. Domeyko 1838—84
 Podróże badawcze po Ameryce Południowej — J. Siemiradzki 1886—91
 Badania Alaski — E. Romer 1913
 Badania Ameryki — A. Fiedler w. XX

AUSTRALIA I OCEANIA

Podróże badawcze po Australii — E. Strzelecki 1839—44

Prace badawcze na Wyspach Oceanii — A. Kubary 1869—96

Odkrycie Archipelagu Palmera — A. Dobrowolski, W. Arctowski 1898

ANTARKTYDA

Wyprawa do bieguna południowego i pierwsze zimowanie na Antarktydzie — A. Dobrowolski, W. Arctowski 1897—99.

Republiki ZSRR i Stany w USA

I. ZSRR:

Rosyjska Federacyjna SRR, Ukrainńska, Białoruska, Litewska, Łotewska, Estońska, Mołdawska, Azerbejdżańska, Gruzińska, Armieńska, Kazachska, Turkmeńska, Uzbecka, Kirgiska, Tadżycka.

II. Stany Zjednoczone Ameryki ptn.

1. Nowa Anglia:

Connecticut, Maine, Massachusetts, New Hampshire, Rhode Island, Vermont.

2. Atlantyk Środkowy:

New Jersey, Nowy Jork, Pensylwania

3. Centrum ptn.-wschodn.:

Illinois, Indiana, Michigan, Ohio, Wisconsin

4. Centrum ptn.-zach.:

Dakota Pd., Dakota Pn., Iowa, Kansas, Minnesota, Missouri, Nebraska

5. Atlantyk pld.:

Delaware, Floryda, Georgia, Karolina Pd., Maryland, Wirginia, Wirginia Zach.

6. Centrum pld.-wschodn.:

Alabama, Kentucky, Mississippi, Tennessee.

7. Centrum pld.-zach.:

Arkansas, Luizjana, Oklahoma, Teksas

8. Góry:

Arizona, Idaho, Kolorado, Montana, Nowa Jork, Nowy Meksyk, Utah, Wyoming.

9. Pacyfik:

Kalifornia, Oregon, Waszyngton, Alaska.

Wydawnictwo Literatury Religijnej informuje:

Ukazały się w druku i są do nabycia następujące pozycje:

1. Ziarna Boże — Konferencje niedzielne. Cena 27 zł.
2. Katechizm Kościoła polskokatolickiego. Cena 9.50 zł.
3. Dziecię z Betlejem. Cena 15 zł.
4. Wierzę w Kościół Katolicki. Cena 4 zł.
5. Zbuduję Kościół Mój. Cena 5 zł.
6. Przez Maryję do Jezusa — Rozważania Maryjne. Cena 18 zł.
7. Kalendarz Katolicki — 1961. Cena 15 zł.

Książki nabywać można w Wydawnictwie — Warszawa, ul. Wilcza 31 m. 15.
 Zamówienia na wysyłkę książek drogą pocztową kierować należy na adres: Wydawnictwo Literatury Religijnej — Warszawa, ul. Wilcza 31 m. 15.

HUMOR



Jestem pewna podziwu dla niego. Gdybym ja tak miała chodzić od jednej szachownicy do drugiej, nie czułabym nóg.

**KALENDARZYK TYGODNIOWY
na 11 tydzień roku
od 12 — 18 marca 1961**

**Wschód
słońca**

**Zachód
słońca**

- 12 N IV Wielk. Postu
- 13 P Krystyny, Bożeny
- 14 W Matyldy, Leona
- 15 S Klemensa M., Ludw.
- 16 C Hilarego, Izabeli
- 17 P Jana Sark., Zbigniewa
- 18 S Cyryla, Edwarda

5,58
5,56
5,53
5,51
5,48
5,46
5,44

17,35
17,37
17,38
17,40
17,42
17,46
17,47

Wydawca:
 Wydawnictwo Literatury Religijnej
 Redaguje Kolegium
 Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Telefony: 8-97-84; 21-74-98.
 Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędę Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy.
 Cena prenumeraty: kwartalnie — zł 26, półrocznie — zł 52, rocznie — zł 104.
 Cena prenumeraty za granicą jest o 40% wyższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa. Konto Nr 1-6-100024.

Zakłady Wklesłodrukowe BSW „Prasa”.
 Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Zam. 330, S-47.

Państwa skandynawskie należą do najbardziej cywilizowanych i kulturalnych krajów Europy.

Znana jest wszystkim, kto się stykał z ludźmi, tych krajów, ich prawosć i uczciwość w życiu codziennym.

Oszustwo, złodziejstwo jest tu od wieków zjawiskiem wyjątkowym i rzadkim.

Ale wszyscy, którzy się interesują historią Europy wiedzą, że narody skandynawskie już przed wiekami uwolniły się od supremacji Kościoła rzymskiego i nieomylnego papieża i zachowując naukę Chrystusa stworzyły własne narodowe Kościoły. „Nie może dobre drzewo złego owocu rodzić, ani złe drzewo rodzić dobry owoc” — powiedział przed wiekami Chrystus do swych uczniów i słuchaczy. Ta prawda przetrwała wieki, a życie ją potwierdziło.

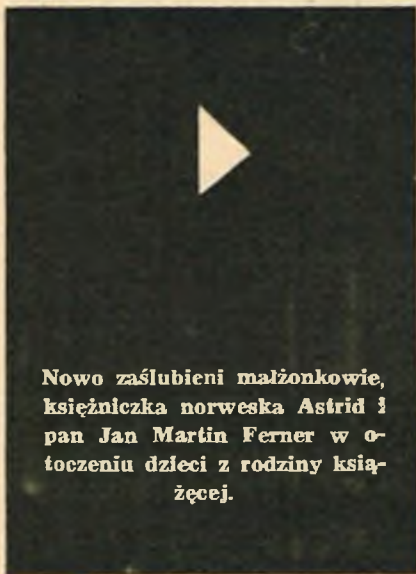
Gdy porównamy kraje wyłącznie rzymskokatolickie, jak: Hiszpania, Portugalia, Włochy z krajami, które od dawna wyzwoliły się od Watykanu, jak: Szwecja, Norwegia, Dania, Szwajcaria, Anglia, Finlandia — to tę różnicę dostrzeże każdy człowiek na każdym kroku.

Ta ogromna różnica między sferami posiadającymi, ich dobrobytem i kulturą, a biedotą żyjącą w nędzy i w ciemności, w prymitywnych warunkach w wielu krajach, jak: Portugalia, Hiszpania i Włochy — jest specyficzną cechą krajów, w których „rząd dusz” sprawują przedstawiciele Watykanu.

To nie żaden zakonnik ani służba zdrowia, to śpiewacy w swych strojach na chórze kościoła norweskiego w Oslo, którzy śpiewają w czasie nabożeństwa.



Altarz w jednym z zabytkowych kościołów norweskich w Oslo, przed którym ksiądz udziela ślubu księżniczce norweskiej Astrid z panem Janem Martinem Fernerem. Świadcami tej uroczystości są przedstawiciele rodów książęcych z Anglii, Szwecji i Danii oraz reprezentanci rządzącej norweskiej partii socjalistycznej



Nowo zaślubieni małżonkowie, księżniczka norweska Astrid i pan Jan Martin Ferner w otoczeniu dzieci z rodziny księżęcej.

